Nr. 44. Warszawa, dnia 23 Października (4 Listopada) 1899 r. **Rok XIX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 3.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerow po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Wojna w Afryce.

II.

Boerowie czuli dobrze ważność pośpiechu w działaniach na natalskiej widowni wojny, w owym wyżej opisanym trójkącie pogranicznym. Zadanie wyparcia z niego Anglików rozpoczęli od napadu na Glencoe w d. 20 z. m. Wykonali go jednak z niedostatecznemi siłami i źle; ich artylerya zamilknąć musiała już po półgodzinnym ogniu, a zuchwałe odosobnienie stanowiska bez taktycznego czucia z innymi oddziałami, sprowadziło przegraną, przy ogólnej słabości sił dotkliwą; można ją obliczyć na 500 poległych i wziętych do niewoli. Zdaje się, że całe działanie zaczepne było skutkiem nierozwagi uprzedzającej chwilę wystąpienia w warunkach, któreby już powodzenie zapewnić mogły. Glencoe wraz z pobliskiem Dundee leży bliżej wschodniego boku owego trójkąta, dotykającego do Zulunii, mniej więcej w połowie odległości od wierzchołka do podstawy, wytworzonej przez rzekę Tugelę. Cała ta odległość wynosi około 180 kilometrów.

Taką samą przedwczesność działania widać w natarciu na Elands Laagte, położone przy drodze prowadzącej z Transwalu, przez zajęte odrazu Newcastle, do Ladysmith nad Tugelą. Stało się to nazajutrz po porażce na wzgórzach Glencoe, d. 21 z. m. Napad się nie udał, Anglicy odparli Boerów orańskich, którym samo położenie geograficzne powierzyło działanie w tej stronie, przyprawili ich o ciężkie straty, zabrali nieco jeńców i oczyścili pole na północ od Ladysmith, które do d. 31 z. m. było ich głównem stanowiskiem w Natalu. W obu tych niepomyślnych dla Boerów walkach wysokość strat, dobrowolnie przyznawanych przez Anglików, dowodzi i dobrego ducha i należytego taktycznego wyrobienia przeciwnika, walczącego za wolność. W jednem tylko starciu pod Glencoe oficerów angielskich zabitych i rannych było 33. Gen. Simons zmarł z ran. Liczba żołnierzy ubyłych z szeregów wynosi około 400. Straty Boerów dochodzą do tysiąca.

Powetowali sobie Transwalczycy klęskę z d. 20 z. m. zwycięztwem w trzy dni później odniesionem. Szczupłość sił, a może nieudolność, nie pozwoliły wodzowi angielskiemu w Natalu, White'owi, wyzyskać położenia zdobytego w pomyślnym boju. Musiały już wtedy napływać z Oranje siły znaczniejsze, utrudniające do niemożliwości proste zasilenie gen. Yule'a, następcy Simonsa, wysłanym z Ladysmith oddziałem. Zeźrodkował się też i naczelny wódz transwalski, Joubert, odpowiedzialny za porażkę w d. 20 z. m., natarł większemi siłami, i czego pierwej dokonać nie mogło samo tylko męztwo, dokonała teraz sprzymierzona z nim bezbrna przewaga. Walka sama nie była zaciętą: Anglik bowiem unikał boju, chciał tylko na południe ku White'owi umknąć. Zasilał go żywymi pędami z własnego miąższu White podczas gorączkowego odwrotu. Udawało mu się to przez dni kilka, aż wreszcie niedaleko już od Ladysmith, na wzgórzach Lombardskop, bóg wojny wynagrodził Boerom wszystkie porażki, straty i zawody w ciągu dziesięciu dni doznane.

Dzień 30 z. m. przypomniał szczęśliwy, zbożny rok 1881, kiedy to Anglicy gen. Coleya wraz z nim samym w pień prawie wycięci — żałosną w ojczyznie do dziś dnia obudzają pamięć. Ich dzisiejszy wódz nie zostawi jej po sobie: dowiódł niezdarności, może nawet nieudolności zupełnej. Wskutek grzesznej nieznajomości pozycyj nieprzyjacielskich całą dwutysięczną kolumnę, chcąc wysłać na pomoc walczącym w okolicach Ladysmith, wysłał właściwie na stracenie. Pięciuset poległo według samego generała angielskiego, ale znajdzie się ich więcej: reszta dostała się do niewoli: na imieniu angielskiem sroga skaza, w Anglii całej żałoba. Tem większa zaciętość toczyć będzie dalszy bój z Boerami. Całą ową widownię trójkątną w północnym Natalu można teraz uważać za opanowaną przez broniącą się narodowość. Ustąpienie White'a z Ladysmith jest nieprzepartą koniecznością, którą usunąć może tylko groźniejsza i haniebniejsza od niej kapitulacya. Anglików musi być jeszcze w Ladysmith około 8,000. Tak tedy Boerowie pierwszą swą powinność spełnili: dotarli do Tugeli: teraz zdążać mają do Pietermaritzburga, stolicy Natalu.

Tydzień polityczny. Zanosi się na to, jak gdyby wielkie mocarstwa, nie wyłączając Niemiec, miały zamanifestować się zbiorowo przeciwko Anglii, z powodu Delagoy, którą Europa chciałaby po przewidywanych zwycięztwach angielskich uczynić neutralną. Do p. Delcassego, który od pewnego czasu już kręci się koło in-

terwencyi, w formie, oczywiście, jak najłagodniejszej, zgłosiła się już deputacya kolonialna, żądająca zneutralizowania całego terytoryum zatoki.

Zbrojenie się Anglii na morzu jakoś ucicha na giełdzie nowin politycznych; wszakże nieporozumienie o Persyę nie ustaje.

Z Hamburga otrzymał cesarz Wilhelm przypomnienie noworocznego telegramu do Krugera i życzenie ujęcia się za Boerami. Tamtejsze kupiectwo, więcej w charakterze kupców, niż Niemców, a jeszcze mniej pobudek ludzkości, chciałoby Anglię w miejscu osadzić. Ale Anglia, to nie Japonia.

Rozprawy nad programatem hr. Clary'ego w austryackiej Izbie deputowanych nie posuwają się ani na krok ku rozwiązaniu najważniejszej sprawy kierunku dalszych rządów bezparagrafowych, zgodnie z wolą większości. Dotychczas hr. Clary robi tylko to, co miłe jest Niemcom: odwołuje rozporządzenia dawniejsze z sądów, z administracyi, nawet z poczty wypędza blankiety czeskie, rządzi z mniejszością, jakby jej przedstawiciel. Zapowiedzianego projektu prawa językowego jeszcze niema. Delegacye mają się zebrać w ostatnim tygodniu listopada. Wybór ich pokaże dopiero przepaść między większością a rządem. Rządy bez paragrafu mogą się okazać gorszemi od rządów z paragrafem.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„NA RATY."

Na podścielisku obecnych warunków bytu i urządzeń ekonomicznych wytworzyła się osobna postać handlu, uprzystępniająca szerokim masom ludności średniozamożnej, a nawet niezamożnej i ubogiej, nabywanie różnych przedmiotów, najpotrzebniejszych w gospodarce domowej i życiu codziennem.

Owa postać handlu wynikła z konieczności. Kupcy bowiem, spostrzegłszy, iż mają zbyt słaby ruch handlowy, zagrażający im ruiną, zniżyli się do warunków materyalnych spożywców i otworzyli im kredyt. Takie udogodnienie jest tedy dla obu stron bardzo ważne i pożądane. Jak zaś ono było niezbędne, dowodzi rozrost sprzedaży na kredyt, czyli na raty, która się utrwaliła nietylko w Warszawie i Łodzi, lecz wogóle we wszystkich miastach Królestwa Polskiego. To samo spostrzegamy i w Cesarstwie. Dziś już wszystko sprzedają na raty: meble, urządzenia kuchenne, ubranie, bieliznę, a nawet samowary i buty. Warunki wypłat są bardzo dogodne, zastosowane bowiem do położenia materyalnego wszystkich stanów. Robotnicy mogą spłacać swój dług tygodniowo po rublu, a nawet po pół rubla, urzędnicy, nauczyciele, ludzie uprawiający pola tak zwanych profesyj wyzwolonych, pracownicy, kantorowi, sklepowi, wszelkiego rodzaju oficyaliści itd. mogą płacić miesięcznie po kilka rubli.

W miarę wzrostu potrzeb ogółu wytworzyło się współzawodnictwo kupców i przedsiębiorców, którzy się wyścigają w udogodnieniach. Dawniej przy zamówieniu żądano czwartej lub nawet trzeciej części sumy, tj. 25 lub przeszło 30% wartości rzeczy nabytych, co dla wielu było znaczną niedogodnością. Dziś już coraz więcej mamy sklepów i przedsiębiorstw, które żądają zaliczki tylko w stosunku 10% wartości towaru. Tak więc, jeżeli ktoś nabywa meble np. za 150 rb., płaci tylko 15 rb., resztę zaś w dwunastu ratach równych w ciągu roku. Niektórzy kupcy stałym swoim odbiorcom robią jeszcze większe udogodnienia: rozkładają sumę całkowitą na czternaście lub piętnaście rat i nie wymagają podpisu drugiej osoby na wekslu. Dzięki temu, niektóre przedsiębiorstwa, sprzedające na raty *specyalnie*, rozwinęły się znacznie i czynią olbrzymie obroty. Do odbioru rat trzymają po kilku inkasentów, którzy w oznaczonych terminach przychodzą do domów klienteli. Tym sposobem pracownik, zarabiający nawet bardzo skromnie, może się zdobyć na przyzwoite umeblowanie swego mieszkania i wogóle na zupełne zagospodarowanie się domowe. Może nadto porządnie się ubierać.

Wszystko to byłoby bardzo piękne i dobre, gdyby nie odwrotna strona medalu. Sprzedaż na raty w znacznej większości jest osobną postacią lichwy i to bardzo dotkliwej, tem dotkliwszej, że bezkarnej i trudnej do skontrolowania. Najmniejszy procent, pobierany przez kupców od klienteli, nabywającej różne przedmioty na kredyt, wynosi 20%. Są wszakże i tacy, którzy pobierają 30%, 40% i 50%. Kupcy tłomaczą się, iż są narażeni na ryzyko, że mają wielu takich spożywców, którzy po zapłaceniu jednej raty, zastawiają rzeczy w lombardzie lub nawet sprzedają; skutkiem tego nie można z nich nic wyegzekwować nawet za pomocą komornika. Przeciwnie, droga sądowa naraża sprzedających niejednokrotnie na koszty dodatkowe. Wreszcie są tacy niewypłacalni, z którymi można się porozumieć dobrowolnie; ale płacą oni raty o połowę lub nawet o $\frac{1}{4}$ mniejsze, czyli spłacają swój dług nie w ciągu roku, lecz dwu albo czterech lat. Tym sposobem 20% schodzi do 10% lub 5%, a 50% do 25% lub 12½%.

To prawda, ale takie wypadki zdarzają się stosunkowo dość rzadko. Większość zatem nietylko pokrywa straty kupców, wynikłe z nierzetelności spożywców, lecz nawet daje im olbrzymie, lichwiarskie zyski tylko z tej nadwyżki, przeznaczonej na ryzyko. Nadto nabywcy podpisują cyrografy z bardzo surowemi zastrzeżeniami, które pozwalają kupcom nietylko odebrać przedmioty sprzedane, lecz zlicytować nabywców doszczętnie. Znane jest wyzyskiwanie wprost niemiłosierne ubogich szwaczek, którym sprzedawane są maszyny na raty w ten sposób, że po „uchybieniu" jednego terminu wszystkie poprzednio wypłacone raty przepadają, chociażby ta „uchybiona" była ostatnia, a nadto

---

Napoleon Rouba.

PAN RZĄDCA.

III.

W jadalni już podano śniadanie. Właśnie wyfraczony Leon ułożył przy nakryciu pana świeżą pocztę, a panna Katarzyna własnoręcznie wniosła i ustawiła na tacy przy nakryciu pani baterye garnuszków, gdy w potokach szmeru spiętrzonego batystu i zapachów wytwornej perfumy, lekko i świeżo weszła dziedziczka.

Służba dyskretnie się usunęła na jedno skinienie.

Czarująco piękna pani Joanna, gestykulując alabastrowemi rączkami, nalała dwie filiżanki kawy a jedną herbaty i uśmiechnęła się do siebie radośnie, spoglądając w zwierciadło.

Pan Artur nie kazał żonie dłużej się nudzić i przybył zupełnie ubrany.

— Więc pojedziemy, Żańciu, do kościoła? — zapytał po czułem przywitaniu.

— Ależ naturalnie! Marynia już prawie gotowa i zaraz nadejdzie.

Pan domu dotknął taśmy dzwonka.

— Każ Barteczkowi zaprządz do powozu! — rozkazał ukazującemu się Leonowi.

— Słucham jaśnie pana!

— Czy wiesz, Turciu, że oni się wczoraj spotkali w alei i pocieszali wzajem? — nagle spytała żona, nachylając się ku mężowi z miną swawolnego kotka i uroczej kobieciny.

Pan Artur, jak przystało, naprzód dotknął zlekka prześlicznego karczku, wynurzającego się z batystów, potem ucałował obie rączki bóstwa, wreszcie zrobił minę takiego, który nic nie wie i niczego się nie domyśla.

— Poszedł na jej spotkanie i to po wyjściu od nas — dodała pani jakby gniewnie.

— Kto? co? kiedy?

— Ależ mój Turciu! — dąsała się pani, zlekka szarpiąc męża za klapę żakiety.

— Jak cię kocham, aniołku!— bronił się wesoło.

— No on, twój rządca, spotkał się z Zosią w alei i... no! nie wiem przecie, co oni tam robili! — wykrzyknęła pani śród kaskady śmiechu.

Otworzyły się drzwi i poważnie weszła panna Marya, witając małżonków uściskiem rączki.

— A zawsześ świeża i zachwycająca, kuzynko! — zawołał uprzejmie pan Artur.

— Jesteś zbyt grzeczny, źle spałam tej nocy, nie mogąc się pozbyć przykrych uczuć po scenie wczorajszej.

— A dla nas to jest chleb powszedni! — naiwnie odezwała się pani Joanna.

— Czyli chcesz powiedzieć, duszko, iż życie na wsi jest jednym szeregiem podobnych przykrości, które my znosić musimy najniesprawiedliwiej — podchwycił mąż.

— To też serdecznie z wami współczuję i skracam mój pobyt na wsi.

— Cóż znowu, Manieczko? Po dzisiejszym balu w Koźlicach zmienisz swój projekt niechybnie.

— Wątpię — odparła spokojnie, zabierając się do kawy i sucharków.

— Jesteś, kuzyneczko, zbyt wrażliwa na drobiazgi życia.

— Ostatecznie cóż się stało takiego? Chłopstwo jest ciemne i nieokrzesane, taki pan rządca, jako za młody, nie umie jeszcze ująć ich w żelazne karby, a zresztą i sam ma gusty plebejusza — pogardliwie rzekła pani Joanna.

— To jednak boli i zniechęca.

— Do czego?—nalegał z uśmiechem pan Artur.

Panna Marya leciuchno spłonęła.

— Turciu, jesteś niegodziwy!—zgromiła żona.

— Proszę jaśnie pana... — szepnął Leon od progu.

— Cóż tam?

— Kowal przyszedł, a Barteczek powiada, że nie będzie zaprzęgał, gdyż już od tygodnia podziękował za służbę.

Dziedzic niecierpliwie odprawił służącego skinieniem ręki.

Przez chwilę panowało dość przykre dla wszystkich milczenie.

Aż wybuchnęła piękna pani Joanna.

sprzedawca odbiera maszynę. Dzięki temu, niedokładność nabywców bywa nawet na rękę kupcom i aferzystom. Takim samym murem warunków, oddających klientelę na pastwę łupiestwa bezkarnego, często otaczają swych dłużników nietylko sprzedawcy maszyn, lecz i innych przedmiotów. Oczywiście wyzyskowi temu się poddają przeważnie ludzie najubożsi.

Ale nie dość na tem. Przedmioty przeznaczone do sprzedaży na kredyt, w większości są znacznie gorsze od tych, które się sprzedaje za gotówkę. Niejednokrotnie jest to tandeta, naprędce sklecona, lecz mająca pozór towaru dobrego. W rzeczywistości więc wartość tych przedmiotów równa się $^1/_4$ sumy oznaczonej przez sprzedawcę. Dzięki temu, po zapłaceniu trzech rat, może on być już zupełnie spokojnym i wolnym od ryzyka. Ale ponieważ tandeta (zwłaszcza meble) szybko się niszczy lub ujawnia swoje braki, więc przedsiębiorcy, chcąc się zabezpieczyć od słusznych roszczeń klientów, dają do pokwitowania z odbioru rzeczy blankiet z następującem zastrzeżeniem: „Z chwilą podpisania tego kwitu nie będą uwzględniane żadne pretensye i reklamacye nabywcy.“ W takich wypadkach, pod pozorem braku czasu i ludzi, przedmioty bywają wysyłane najczęściej wieczorem, ażeby odbiorca nie mógł ich obejrzeć dokładnie przed podpisaniem kwitu. W gorszych warunkach są odbiorcy prowincyonalni, otrzymujący z miasta przedmioty nabyte na kredyt. Ci już nie mogą żądać ani naprawy rzeczy, ani zamiany ich na lepsze.

Na stosunek kupców do klienteli tudzież wogóle na warunki handlu „ratowego“ w ostatnich czasach zwróciły uwagę sfery ministeryalne i postanowiły uregulować na drodze prawnej tę dziedzinę stosunków handlowych. Przedewszystkiem będą wzięte pod uwagę dwa zasadnicze warunki: 1) zapewnienie nabywcom możności odebrania wypłaconych rat po zerwaniu umowy z jakiejkolwiek przyczyny i 2) zagwarantowanie sprzedawcy możności otrzymania od nabywcy wszystkich rat za sprzedany mu towar. Czy dla usunięcia lichwy w tym handlu będą przedsięwzięte jakiekolwiek środki, nic o tem jeszcze nie wiemy. W każdym jednak razie przypuszczać należy, że cała ta postać handlu w najmniejszych szczegółach będzie dokładnie rozważona w sferach właściwych, skoro już tam weszła na porządek dzienny

---

ZŁY DUCH.

Kraków, 29 października.

W skargach i potępieniach żywiołów reformatorskich Galicyi najczęściej powtarza się nazwisko p. Bobrzyńskiego. Istotnie, ten złej sławy działacz przedstawia jeden z najsmutniejszych widoków przedzierzgnięcia się poważnego człowieka w politycznego wilkołaka. Jako badacz historyi i prawa polskiego dał on nauce i literaturze szereg prac wielkiej wartości, a obiecywał dać więcej. Partya stańczyków, która go nabyła dla siebie za cenę łask i dobrodziejstw karyerowych, jak to zwykle czyni, oderwała go od warsztatu naukowego i postawiła przy maszynie swej niecnej gospodarki. Z profesora uniwersytetu przemienił się na viceprezydenta a raczej faktycznego prezydenta Rady szkolnej, z pracowitego badacza, który co kilka lat wydawał cenne dzieło, na próżniaka, który pisze już tylko rozkazy, z krzewiciela wiedzy na gasiciela oświaty w najciemniejszym kraju Europy. Ponieważ w interesie stańczyków leży utrzymanie niższych i średnich warstw społeczeństwa w największej niemocy umysłowej, więc p. Bobrzyński zwrócił swą pomysłowość i energię w tym kierunku, a ze swego wpływowego stanowiska mógł to uczynić z niewątpliwem powodzeniem.

Nie będziemy tu opowiadali wszystkich jego hamulców, jakimi usiłował powstrzymać i nieraz powstrzymał rozwój szkolnictwa w Galicyi, zwłaszcza że te czyny korespondenci *Prawdy* w swoim czasie zapisywali do rachunku jego chwały; podniesiemy dziś tylko najświeższy listek wawrzynu byłego krzewiciela nauki. Jedyną szkołą średnią dla kobiet w Galicyi są t. z. seminaria żeńskie (w Krakowie, Lwowie i Przemyślu), których patent daje uczennicom prawo starania się o posady nauczycielskie w instytucyach publicznych. Natłok do tych trzech zakładów jest wielki, bo chociaż nie wszystkie kandydatki mają zamiar poświęcić się zawodowi pedagogicznemu, pragną wszakże zdobyć owo świadectwo, otwierające im w potrzebie jedno z nielicznych pól pracy zarobkowej. Po założeniu tych seminaryów przed 25 laty, ich trójca początkowo wystarczała, a gdy później okazał się brak miejsc, zaczęto tworzyć klasy równoległe, ile razy liczba uczennic przekroczyła 60. Nareszcie u steru szkolnictwa galicyjskiego stanął p. Bobrzyński, który zniósł klasy równoległe i zakazał dyrektorom przyjmować do każdej więcej uczennic, niż 60. Ponieważ zaś kandydatki wstępujące składają egzamin, więc polecono nauczycielom przesiewać je przez gęste sito. Pomimo to ze 180 panien zdało 120. Przyjąć można tylko połowę — ale które wybrać? Tu rozpoczyna dopiero wyciągać tajemnic swe ramiona połip niszczący Galicyę — „stosunki.“

Zauważycie może, iż konstytucya poręcza każdemu obywatelowi nieograniczone prawo kształcenia dzieci w szkołach publicznych, więc pokrzywdzeni mogą wystąpić ze skargą do trybunału państwowego? Mogą, o, mogą, tylko muszą policzyć się ze skutkami takiej odwagi. Ten zajmuje jakiś urząd, ten ma syna w gimnazyum, ten pozostaje w stosunku jakiejś innej zależności — niechże spróbuje rozgniewać Radę szkolną i jej Jowisza. Zobaczymy.

Z większem bezpieczeństwem mogą oni wyszeptać swe żale do ucha jakiemuś posłowi. Mogą, o, mogą, ale ten poseł albo jest stańczykiem, albo należy do Koła, rządzonego przez stańczyków. W takich warunkach rezultat łatwy do przewidzenia.

Pod tarczą tedy bezkarności i wszechmocy gospodaruje sobie samowola na szkodę oświaty krajowej, a miejscowe dzienniki ledwie śmią czasem przeciw niej zaprotestować... cyframi statystycznemi, donosząc: „Kandydatek zgłosiło się tyle — przyjęto tylo“ — i basta!

— Cóż za niegodziwcy? Taki Barteczek śmie nie słuchać i wyrzeka się służby, tak dobrze opłacanej!

Wytworny pan Artur gniewnie zaciskał pięści, jak najzwyklejszy śmiertelnik, a nawet pobladł widocznie.

Co widząc czuła małżonka, przemówiła tkliwie:

— Lecz nie unoś się, Turciu, oni tego nie warci.

— To prawda, kuzynku, twoje zdrowie jest stokroć ważniejsze—dodała serdecznie panna Marya.

— To dziwne nawet, że masz tyle przykrości, tak drogo opłacając rządcę, który cię powinien przecie w tem wszystkiem wyręczać.

— Ludzie płatni nie znają zazwyczaj subtelniejszych uczuć — z goryczą odparł pan Artur.

Panna Marya chciała jeszcze coś dodać od siebie, lecz poprzestała na milczącem, choć wymownem uznaniu prawdy tych słów.

Pan Artur wyszedł do przedpokoju i z góry wpadł na kowala:

— Daremnie mię nachodzisz! Córka twoja została słusznie ukarana za kradzież i nikt jej od tego nie uwolni.

— Dopraszam się łaski jaśnie pana...

— Nie umiecie cenić służby, nie znacie wdzięczności za pracę i zarobek...

— Proszę jaśnie pana, ja...

— Wszyscy jesteście jednacy: kraść i oszukiwać — to wasza dążność jedyna!— gromił dziedzic w zapale.

Wreszcie umilkł na chwilę.

— Chciałem też prosić jaśnie pana o dziesięć rubli z kwartalnego, bom spatrzył w miasteczku parę prosiaków — skomlił człeczyna przepity śród tysiącznych ukłonów.

— A, dziesięć rubli? To co innego!..

— Ja bo, proszę jasnego dziedzica, sam mówię, że ta kara to sprawiedliwa i dziękuję jaśnie panu za nią — dodał z wstrętnie płaszczącą się twarzą i pokorą w głosie.

— To co innego! Masz oto te dziesięć rubli i zapowiedz dziewczynie, aby mi to było raz ostatni.

— Skarciłem ci ja ją, jaśnie panie, a i babie zapowiedziałem surowo, nie tak, jak ten głupi forszman, co, bez urazy jaśnie pana, cały naród buntuje i słucha się baby.

— Gdzie on? — groźnie zagadnął dziedzic, zwracając się do kowala i kamerdynera jednocześnie, a czując w sobie niezwykle silny przypływ energii.

Za chwilę rozrosły woźnica przekraczał próg pańskiej siedziby, lecz bynajmniej nie skruszony i upokorzony. Ładna twarz jego zdradzała iście chłopskie zacięcie, a cała postać — może bezmyślną, lecz potężną siłę.

Dziedzic jednem spojrzeniem objął chuderlawego Leona i zgarbionego kowala, poczem rzekł do pierwszego:

— Poproś tu pana rządcę! — a sam cofnął się do gabinetu.

Tam go wnet odnalazła zaniepokojona małżonka.

— Bałam się o ciebie, Turciu! Ach, ten lud niegodziwy!

— Przesadzasz, Żańciu, i dramatyzujesz — niechętnie odparł mąż.

— Więc sądzisz, mężusiu, że całe to zajście da się pomyślnie ułożyć?— badała ciekawie.

— O tem nie wątpię, choć może nieco przypłacę kieszonią.

— Daruj już, Turciu, tej kowalczance, a będziesz miał rządcę za sobą.

— Sam o tem myślałem, lecz Barteczek jest dla nas niezbędny.

— Ależ on odejść nie może. Daj mu, co zechce, lecz pamiętaj, mój drogi, że ja tylko wtedy smacznie usypiam w karecie, wracając z balu, kiedy wiem, że on siedzi na koźle.

— Mogłabyś dodać jeszcze, niewdzięczna! — kiedy ja siedzę przy tobie.

— Czyż wątpiłeś kiedy o tem? — podchwyciła z umizgiem.

Nastąpiła króciutka chwila zespolenia dusz małżeńskich w przelotnym pocałunku i wymownych spojrzeniach.

— Pan rządca! — zameldował Leon.

Pani Joanna pierzchnęła lekko, jak ptaszyna.

— Witam pana! — odpowiedział dziedzic na ukłon młodzieńca, nie podając kończyny, ale wskazując krzesełko.

Czytelnicy *Prawdy* nieraz może uznają jej sądy o stosunkach galicyjskich za surowe. Niech wszakże uprzytomnią sobie i rozważą dobrze: co tam robić można a co się robi. Żyzny grunt dzięki lenistwu i złej woli zamieniony na odłóg bezpłodny, porastający szkodliwymi chwastami, bo tak chce garść wyzyskiwaczów przywileju i ciemnoty, którzy dla swej gospodarki potrzebują nieuprawnych ugorów.

W. Kal.

Z NIEMIEC.

Berlin, 25 października.

Śliczny garniturek.

Pierwszym arystokratycznym salonem Berlina była od dwu tygodni sala sądowa na Moabicie. Codzień schodziła się tu prawdziwa śmietanka towarzyska przedstawicieli starych nazwisk rodowych, twórcy dobrego tonu, królowie mody i lwy sportu. Wszystko tchnęło tu wytwornym smakiem. ogładą i elegancyą. Zarówno trzej gospodarze „Klubu niewinnych,“ oskarżeni o szulerstwo zawodowe, jak rzeczoznawca w osobie hrabiego i świadkowie rekrutujący się z wysokiej, a nawet najwyższej magnateryi, zdradzali na każdym kroku, iż nie są ulepieni z tej powszechnej gliny, co inni śmiertelnicy. Ich błyszczące cylindry, lakierki, monokle i szpilki krawatowe, ich wąsy ufryzowane „cesarską bindą“ Haby'ego, ich sposób mówienia donośnym a jednak uprzejmym tonem, ustawiczne szermowanie frazesami w rodzaju „dżentelman,“ „honor,“ „unfair“ itd. — wszystko to świadczyło, iż mamy szczęście oddychać atmosferą szczytów piramidy społecznej. Dzięki sprawie „Klubu“ i ludzie nizin, gmin, który na swych zgarbionych barkach niesie gmach pracy, mogli przyjrzeć się zblizka światu wytworności i elegancyi, światu przywilejów i dziedzicznych dostojeństw, światu, którym się wszyscy interesują, lubo — jak wyszło na jaw — toczy go robak zgnilizny i rozpusty. Na ławie oskarżonych zasiadało nie trzech szalawiłów, którzy padli ofiarą intrygi i gorliwości denuncyantów. lecz cała klasa niemieckiego junkierstwa, która nie myśli zrzec się praw pierworodztwa, pomimo iż czas zdegradował ją na stanowisko błyskotliwej, acz cuchnącej bańki mydlanej. Jeden z oskarżonych, cięty i czelny junak, Krocher, oświadczył, iż ci wszyscy, którzy defilowali przed sądem w roli świadków, prowadzili kubek w kubek ten sam tryb życia, co on. Nie żył on bynajmniej — jak zapewniali wszyscy sędziowie — nad stan, lecz szedł za ogólnym prądem. Wszyscy ci panowie zajmują pierwsze miejsca w teatrze, stołują się u Kempinskego i Drechslera. mają na swym żołdzie nałożnice ze sfer arystokratycznych, podróżują po miejscowościach kąpielowych, od czasu do czasu zawitają do Akwizgranu dla leczenia chorób kawalerskich, a niekiedy usadowią się na dłużej w Monaco. Słowem, pobyt na tak zwanym padole płaczu składa się dla arystokratycznej złotej młodzieży z szeregu hulanek i awantur i polega na bezmyślnem zabijaniu czasu służbą Wenerze, Bachusowi i kartom. O pracy, mozolnej, krwawej pracy, która podług przysłowia niemieckiego osładza życie, ani razu nie zająknął się żaden ze szlachetnych kawalerów. O wielkich dążeniach i ideałach nie było słychać. Pisma konserwatywne przy publicznem odsłonięciu tego okropnego widoku rozdarły szaty, wołając, iż giełdziarze, lichwiarze i spekulanci, którzy siedzą w szklannym gmachu, nie powinni rzucać kamieniami na junkrów. Prasa mieszczańska odparła słusznie, iż jedni są tak samo wstrętni i brudni, jak drudzy.

Lecz pocóż obłuda i gra w ślepą babkę? W r. 1883 junkrzy wnieśli w sejmie rzeszy prośbę do rządu, aby zechciał przedsięwziąć kroki przeciwko zbójeckiej jaskini w Monte-Carlo. W szeregu podpisów figurowało nazwisko osławionego redaktora „Krzyżówki,“ barona Hammersteina, który poszedł na dwa lata do kozy za brudne machinacye i oszustwa. Nieco później wygłosili konserwatywni w sejmie pruskim siarczyste filipiki przeciwko loteryi, demoralizującej masy ludowe. W r. 1894 wystąpił hr. Arnim energicznie przeciwko totalizatorowi. A tymczasem, jak wykazała sprawa „Klubu niewinnych,“ złota młodzież arystokratycznego pochodzenia spędza większą część życia przy zielonym stoliku lub na torze wyścigowym. Prawica parlamentarna uważa sobie od dwu lat za punkt honoru ratować lud od Sodomy i Gomory rozpusty; nie mija miesiąc, aby któryś z jej członków nie nawoływał rządu do zamknięcia sal tańców, jako wrzekomych rozsadników niemoralności. Ku wielkiemu wszakże zgorszeniu prasy prawowiernej wyszło na jaw, iż połowa sali sądowej — gołowąsi hrabiowie, baronowie i książęta — są bywalcami „Ballhausów,“ gdzie badają subtelności kankana lub dokonywają oględzin świeżych transportów na rynku miłosnym. Tak wyglądają w Niemczech ci *hommes comme il faut,* co stawszy się inwalidami życia, ofiarują swe serca bogatym żydówkom, a swe nazwiska jako szyldy firmowe rozmaitym stowarzyszeniom akcyjnym i „Vereinom.“

Co prawda i te pieszczochy fortuny miewają swe kłopoty. Niejednokrotnie w toku sprawy opowiadali świadkowie i oskarżeni, jakie opały przechodzi młodzieniec, chcąc związać koniec z końcem. Oskarżony von Kröcher, nieopierzone pisklę junkierskie, utrzymywał kamerdynera i kochankę wraz z całą rodziną, miał piękne konie i rozbijał się na wszystkich wyścigach: 21-letni młokos wydawał rocznie 30 tysięcy marek, a więc tyle, ile starczyłoby na utrzymanie trzydziestu Spinozów, trzydziestu twórców nieśmiertelnej „Etyki.“ Oczywiście okruchy otrzymywane z domu musiały być kroplą w morzu potrzeb i pretensyj dżentelmana. Karty i ruletka z konieczności rzeczy stają się nie tyle szlachetnym przedmiotem szlachetnej rozrywki, ile stałem źródłem dochodów. Należy bowiem przyjąć pod uwagę, iż w przyzwoitym klubie karciarskim drobne stawki uchodzą za coś mieszczańskiego. *Noblesse oblige!* W „Klubie niewinnych“ obracano w przeciągu nocy dziesiątkami i setkami tysięcy. Zdarzyło się nawet, iż jakiś niehorak przegrał w przeciągu 24 godzin nieustającej gry 400 tys. marek. Ażeby zaś koło hazardu nie stawało, odświeżano klub wciąż nowym doborem partnerów. Do tego służyli t. zw. „szleperzy,“ werbujący gości ze wszystkich sfer towarzyskich. Byli to łowcy ludzi, którzy zostawiali sieci na grube ryby. Słowem, „Klub“ był swego rodzaju zakładem z odpowiednim trybem, aparatem i personelem.

Na czele zarządu stał, obok trzech młodzieńców arystokratycznych, stary lis szczwany, który w młodości spędził dwa lata w więzieniu za kradzież. Pan Wolf

---

Rządca nieznacznie się uśmiechnął. Zrozumiał przecie, że wytworny pan Artur pragnie w ten sposób go ukarać za wczorajsze zuchwalstwo i... zrobiło mu się względnie wesoło na duszy.

— Cóż tam mamy nowego?

— Nie wiele, wojna hiszpańsko-amerykańska już na schyłku, natomiast w Chinach rodzą się poważne zagadnienia.

Pan Artur wyraził całą swoją osobą ogromne zdziwienie i oburzenie.

— Lecz ja pana wezwałem tu w interesach służbowych — rzekł sucho i z naciskiem.

— Nic mi o tem Leon nie mówił. I tu zresztą nic nowego: dopiero ukończyłem wypłatę i zabieram się do sporządzenia wykazu udojów obory pańskiej — odparł obojętnie rządca.

— Mógłby też pan odłożyć te zajęcia na dzień powszedni, a dziś należycie wypocząć.

— Pragnę mieć regestry i księgi w porządku na każde zawołanie.

Dziedzic ruszył się niecierpliwie i po niejakiem wahaniu zbliżył się z uśmiechem dobrotliwym, mówiąc:

— Jesteśmy młodzi, więc łatwo idziemy za podnietą lubo szlachetnych, lecz zgoła niepraktycznych uczuć...

— Uczuć niepraktycznych? — zdziwił się młodzian, dobywając papierosa.

— Inaczej tego nazwać nie umiem.

— A więc? — podchwycił rządca.

— Więc porozumiejmy się, gdyż chodzi mi tu przedewszystktem o pana, a następnie i o odrobinę spokoju, który mi — przecież pan nie zaprzeczy? — należy się niewątpliwie.

Młodzian istotnie nie zaprzeczył, zajęty bardzo starannem zapalaniem papierosa.

— A więc postanowiłem: oddać całą tę sprawę do rozporządzenia pana z zastrzeżeniem, ażeby Barteczek pozostał w służbie nadal, a zresztą, żebym o tem wszystkiem więcej nie słyszał: czy zgoda?

— Trochę się różnimy w poglądach: sądzę, iż należałoby całą tę sprawę umorzyć w imię poczucia samej sprawiedliwości, a takiego Barteczka w żadnym razie nie usiłować znaglić do dalszej służby.

— Więc mamy się wyrzec dobrego woźnicy w imię jakichś mglistych majaczeń? — spytał pan Artur z ironią.

— W imię praw jego, jako człowieka, który nie chce służyć u pana.

— Ależ pan jest dziwaczny! Ja panu darowywam kowalczankę, pan zaś — nie czuje się nawet w obowiązku do zadowolenia słusznych wymagań mojej żony, jako kobiety.

Rządca z kolei cały się zamienił w nazbyt wyraźny znak zapytania.

To też rzekł od niechcenia:

— Oprócz poczucia obowiązku, potrzebną jest i dobra wola.

Pan Artur albo nie zrozumiał, albo też zrozumieć nie chciał.

— Co do Barteczka — daję panu *carte blanche,* a całą sprawę niech pan skieruje podług upodobania.

— Dobrze! — odparł rządca.

Poczem powstał i wyszedł do przedpokoju.

— Idź przed oficynę — rozkazał kowalowi — ty zaś — zwrócił się do Barteczka — natychmiast zakładaj do powozu — gdy wrócisz z kościoła, powiedz swej babie, iż krowę waszą weźmie się na dworską oborę, a prócz tego dostaniecie więcej zagon kapusty i 15 rubli zasług rocznie.

— Słucham wielmożnego pana — odrzekł olbrzym, już pędząc do stajni.

Młodzian machinalnie sięgnął po kapelusz słomkowy i, smutnie uśmiechnięty, powlókł się ku swej oficynie. Zdawało mu się, że wlazł w błoto, jednocześnie podstawiając świadomie własne plecy dla wydobycia się komu innemu.

— To służba prywatna! — mruknął, zapuszczając się po cień obszernego klombu.

— Nie znać na panu uczucia zwycięzcy! — usłyszał nagle głos miły przed sobą.

— Wytworna panna Marya zaszła mu drogę z wyciągniętą rączką na powitanie.

— Bo też daleki jestem od tego.

— Chyba nie, skoro się stało tak, jak pan chciał i ma pan swobodę rozdawnictwa łaski.

— Łaski, znaglonej okolicznościami, na czem przecie lud nasz wybornie poznać się umie — odrzekł z ironią.

— Chyba to nie dotyczy kowalczanki.

swem genialnem zgłębieniem sztuki „mimieri" i swemi arystokratycznemi manierami podbił sobie serca high life'u i z niektórymi jego przedstawicielami żył w wielkiej poufałości. Robił on wrażenie raczej czcigodnego, sędziwego starca, niż pokątnego łapacza. Klub miał nadto swych własnych bankierów, którzy wybawiali graczów z kłopotów pieniężnych, i drobnych lichwiarzy w osobach kelnerów. Policya wpadła nareszcie na trop „Klubu." Wtedy „Niewinni," chcąc zatrzeć ślady swej szlachetnej rozrywki, przenosili się z lokalu do lokalu. Ażeby ochronić się przed natarczywem okiem ciekawych, kierownicy zakładu posługiwali się własnym żargonem złodziejskim. Zawiadamiając np. towarzysza o przyjęciu kochanki od kolegi, jeden z oskarżonych pisał w stylu klasycznym: „Siksel übernomen." Sąd uniewinnił oskarżonych, nie mogąc im dowieść zawodowego karciarstwa. I wszystko jest znowu w porządku.

H. F.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Sprzeczności.

Chyba każdy z nas wie, a nawet osobiście przekonał się, jak trudno zdobyć pracę. W biurach, bankach, kantorach, fabrykach, wszędzie tłok i nadmiar, a zwłaszcza koleje żelazne są tak oblężone, że na jedną wakującą posadę przypadają nieraz setki kandydatów. W średnich warstwach społecznych trudnoby było znaleźć rodzinę, którąby nie pasowała się z kłopotem umieszczenia gdzieś jakiegoś swego członka. Skazani na przymusowe próżniactwo uciekają się do rozmaitych środków ratunkowych — przekupstwa, poniżeń, ofiar z uczciwości kobiecej, wyznaczają w gazetach nagrody dla pośredników lub żebrzą miłosierdzia. Jak dalece wypadek otrzymania „posady" poczytuje się u nas za godny uwagi publicznej, dość powiedzieć, że pisma ogłaszają nazwiska mianowanych pomocnikami pomocników sekretarzy sądowych, t. zw. „młodszych kandydatów do posad sądowych." Zdawałoby się, że u nas każda komórka gospodarstwa społecznego jest wypełniona siłą czynną i że ono weszło pod tym względem w stan wielkiego przesycenia. Tymczasem jednocześnie staje przed nami ciągle fakt wręcz z tym sprzeczny, dowodzący nie zbytku, ale niedostatku. Równolegle bowiem ze skargami na brak pracy odzywają się z tą samą częstością utyskiwania na brak uzdolnionych pracowników. Daremnie poszukują ich kupcy, fabrykanci, rzemieślnicy, ziemianie, redaktorzy, tak że również prawie niema zawodu, w którymby te narzekania nie powtarzały się ustawicznie. W zeszłym tygodniu odbyło się zebranie „Związku roboczego" (instytucyi utworzonej na wzór „articli" rosyjskiej). Otóż zarząd stwierdził, że nie mógł obsadzić wielu korzystnych stanowisk w przemyśle i handlu z powodu braku uzdolnionych kandydatów. Co to znaczy? Co znaczy ta dziwna sprzeczność objawów — nadmiaru i niedostatku sił w tej samej dziedzinie? Przyczyna prosta: mamy za dużo ludzi „do wszystkiego," a za mało specyalistów, za dużo przygotowanych do pewnych gałęzi pracy, a za mało do innych. Czyli: nasza pedagogika społeczna wykazuje z jednej strony wielkie zaniedbanie, z drugiej uległość przesądom i rutynie. Albo hodujemy ogromną masę nieuków, albo unikamy zawodów „poślednich" i chodzimy tłumnie po ścieżkach dawno wydeptanych, na których panuje ścisk i zażarta walka. Ponieważ zaś życie, wytwarzając warunki bytu, nie liczy się ani z lenistwem, ani z lekkomyślnością, ani z upodobaniami i ambicyami jednostek, więc trzeba poddać się jego konicecznościom i zwrócić na te pola pracy, które jeszcze leżą odłogiem. Zaznaczona powyżej sprzeczność powinna stać się dla nas wskazówką zarówno społeczną, jak pedagogiczną.

Małe rozczarowanie.

Znany profesor niemiecki, Delbrück, odwiedził przed kilku tygodniami Warszawę, ażeby — jak głoszono — przekonać się naocznie o wartości kultury polskiej. Ponieważ on w swojem piśmie, „Preussische Jahrbücher," występował przeciwko germanizatorskim dążnościom, a raczej okrucieństwom w Poznańskiem, więc go przyjęto u nas z zapałem w prasie i z serdecznością w domach prywatnych. Ile dni bawił w Warszawie — ściśle oznaczyć nie umiemy, nie dłużej wszakże, niż kilka. Przez ten czas zdążył pogadać ze znajomymi, pojechać do Wilanowa, przypatrzeć się ulicom i gmachom, zajrzeć nad Wisłę itp. Nie potrzebujemy zapewniać, że dla najpowierzchowniejszego zbadania kultury Eskimów lub Botokudów potrzebaby pobyć u nich dłużej. I tak też robią podróżnicy ze wszystkimi ludami. Wyjątek stanowimy jedynie my. Nas można doskonale poznać z okien wagonu, z przechadzki po Warszawie, z przygodnych objaśnień jednego lub dwóch spotkanych na ulicy lub w salonie Polaków, można nawet napisać studyum o naszej literaturze, nie rozumiejąc z języka polskiego ani słowa. Już takie cuda oglądaliśmy nieraz. Powiększył ich liczbę prof. Delbrück, który po kilkodniowej wycieczce do Warszawy, opisał nas szczegółowo.

Bez względu na naukowe lub literackie znaczenie firmy, wyrabiającej podobne migawkowe fotografie, nie przywiązujemy do nich żadnej wagi i zwykle pomijamy je w *Prawdzie* milczeniem. Więc też nie wspominaliśmy o zdjęciu naszego oblicza kulturalnego przez prof. Delbrücka, pomimo że on je retuszował z sympatyą i uwydatnił rysy dodatnie. Trafność tego lub owego spostrzeżenia nie okupuje błędności lub powierzchowności innych. Ale prof. Delbrück przygotował małą niespodziankę tym, którzy go entuzyastycznie przyjmowali i czule żegnali. Mianowicie wyznał w swem piśmie, że on również jest zwolennikiem germanizacyi, tylko łagodniejszej i rozumniejszej. Obecna nie podoba mu się, bo jest brutalna i głupia, a z tego powodu mija się ze swym celem. To szczere wyznanie skwasiło trochę miny naszych „pierwszych naiwnych" w prasie. Nas ono wcale nie dziwi. P. Delbrück nigdy się z tem nie krył, że jest Niemcem, że pragnąłby widzieć fale kultury germańskiej rozlane jak najdalej, *für Polen schwärmte er nie* — czegóż więc chcą od niego warszawscy czciciele? „O Irlandyo, o biedna moja ojczyzno — woła Tackeray — kiedy dojdziesz do tego rozumu, że miotłę nazy-

---

której pan jest obrońcą dla... idei tylko — podjęła z naciskiem.

— Myli się pani: kowala wraz z całą rodziną usunę bezwarunkowo od roku, faworyta woźnicę cierpieć będę z konieczności, a więc tylko Frankę — może pani nie wie? — tę dziewczynę *taką* zdołałem obronić dla idei.

Panna Marya uczuła się zakłopotaną.

— Chodzą tu o panu tak niedorzeczne plotki... — szepnęła.

— Wiem coś o tem: wczoraj jakoby miałem spotkanie z ładną istotnie Zośką.

Panna Marya spłonęła, niby lekko zasnuty nieboskłon przed wschodem słońca.

— A w rzeczywistości? — szepnęła.

— Miałem rzadką sposobność zwyciężenia w sobie zachcianek człowieka pewnej kultury...

Zapanowało milczenie.

— Jestem winną wobec pana — zdobyła się wreszcie na słów kilka panna Marya, płonąc coraz bardziej.

A panu rządcy wtedy się zdawało, że powinien porwać w przelocie tę chwilę przeczystego zapomnienia wytwornej dziewczyny, tuląc ją do drżącej swej piersi na chwałę dobrych i szlachetnych porywów młodzieńczych.

Lecz brakło mu odwagi; jakaś swoista duma „pana rządcy" zmroziła jego duszę i ramiona, a na usta wybiegł jeno blady i nikły frazes:

— W tem wyznaniu pani odczytuję przepiękne głoski twej duszy.

Więc ona uśmiechnęła się na to figlarnie i, dotykając paluszkami jego ramienia, szepnęła:

— Jaka szkoda, iż ani razu nie przetańczyliśmy z sobą oberka, jestem pewna, że straciłby pan swą sztywność doszczętnie.

— Niech to będzie ostatnia jego figura — odrzekł serdecznie i tkliwie, ujmując obie ręce dziewczęcia do długiego i gorącego pocałunku.

Pannie Maryi drobna łza zrosiła powieki, lecz... w tej chwili usłyszała głos wytwornego kuzynka i turkot zajeżdżającego powozu.

— Jakże miłą mi będzie następna wycieczka do Warklan w połączeniu z myślą o ponownem spotkaniu z panem — szybko wypowiedziała.

— Niestety, pani, dzisiejszy mój tryumf tem mocniej przekonywa mnie o konieczności opuszczenia Warklan.

Panna Marya zdziwiła się.

— Wszak harmonia wydaje się przywróconą w zupełności?

— O tak! — lecz tem głębiej zarysował się przedział między nami, którego ja wyrównywać nie chcę i nie powinienem.

Coś niby lekkie uczucie żalu ścisnęło ją za gardło.

— Więc może kuzynostwo... — podszepnęła.

— Tem mniej jeszcze.

Pożegnali się po tych słowach zwykłym, sztywnym ukłonem.

— Biedny motyl usiadł przez chwilę na pokrzywie zamiast róży — rzekł do siebie młodzian z uśmiechem.

Na ganku zastał kowala i ująwszy za ramię, wiódł za sobą w milczeniu do kancelaryi.

Chłopina dygotał nazbyt wyraźnie.

— W jakim celu wziąłeś pieniądze od dziedzica?

— Ja, wielmożny panie... bez urazy wielmożnego pana...

Plątał się najwidoczniej i wił pod surowem spojrzeniem młodzieńca.

— Słuchaj mnie: dworskie zabudowania, krescencya i inwentarz są ubezpieczone od ognia, a w wypadku podpalenia sprawca z pewnością będzie ujęty. Dziesięć rubli wziąłeś na opłacenie szubrawca, lecz wypędzisz go od siebie zaraz bez żadnych wyjaśnień. Jutro zaś pójdziesz do sądu i poprosisz, aby mnie wezwano na świadka w tej sprawie o mieszankę, gdyż była to nie kradzież, tylko proste nieporozumienie, skoro ja tym trzem babom pozwoliłem wziąć nieco karmu do doju. Czy zrozumiałeś mię?

Snać zrozumiał, bo runął do nóg młodzieńca i śród jęku, się skarżył.

— Przecie i ja nie mogłem dać dziecka na stracenie!

KONIEC.

wać będziesz miotłą!..“ O naiwni publicyści warszawscy, kiedy wy dojdziecie do tego rozumu, że Niemca lub Francuza nazywać będziecie Niemcem lub Francuzem, a nie „Królem—Duchem“!

Okólnik.

Inspektor szkół m. Warszawy wydał okólnik następujący:

„Zgodnie z rozporządzeniem p. kuratora warszawskiego okręgu naukowego, poczynając od bieżącego roku szkolnego, lekcye w szkołach początkowych winny być podzielone w sposób następujący: 1) Z 36 tygodniowych godzin lekcyj nauczyciela z uczniami we wszystkich początkowych szkołach okręgu, gdzie wykład języka polskiego jest obowiązującym, ma być przeznaczone na lekcye tego języka ogółem dla wszystkich oddziałów 6 godzin tygodniowo; pozostałe zaś godzin 30 mają być podzielone pomiędzy inne przedmioty w ten sposób: na religię 2 godziny, na język rosyjski 12 godzin, na naukę o rzeczach, oraz wiadomości z historyi Rosyi, geografii i nauk przyrodzonych — 3 godziny, na arytmetykę 8 godzin, na kaligrafię 2 godziny, na rysunki 1 godzina i na śpiewy 2 godziny. 2) Z 36 godzin tygodniowych, spędzanych przez uczniów w klasie, winny być przeznaczone na każdy oddział szkoły 2 godziny zajęć bez nauczyciela na język polski i nie mniej jak 8 godzin na język rosyjski. 3) Pp. nauczyciele winni używać czasu, przeznaczonego na naukę języka polskiego w ten sposób, iżby zajęcia uczniów były skierowane głównie do nauczenia się czytać i pisać po polsku. Ostatecznie wypracowany i ustalony plan zajęć w szkole, podług rozporządzenia j. w. kuratora warszawskiego okręgu naukowego, mam zaszczyt prosić zawiadujących rządowymi i prywatnymi zakładami naukowymi złożyć mi z początkiem bieżącego 1899—1900 roku szkolnego. Przytem uważam za potrzebne nadmienić, że, począwszy od bieżącego roku szkolnego, należy składać w inspekcyi w 2 egzemplarzach nietylko plan nauk podług przedmiotów, ale i podług rodzajów zajęć w różnych oddziałach.“

BOLESŁAW HIRSZFELD.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Zmarły Bolesław Hirszfeld żywy stoi mi przed oczyma, chociaż upłynęło blizko lat dwadzieścia od chwili, kiedy go poznałem. Uderzył on mnie wtedy osobliwą jakąś pogodą umysłu i spokojem ducha, chociaż pod tą wierzchnią skorupą czuć było niepospolity zapał i silne porywy. Rzadko stosunkowo odzywał się i wogóle nigdy nie polował na górnolotne frazesy. Jeśli zabierał głos kiedykolwiek, to zawsze, ażeby powstrzymać namiętności i wybuchy stronniczości lub dla zwrócenia uwagi na cele praktyczne. Był bowiem entuzyastą czynu, codziennego i nieraz szarego, lecz czynu! W jego zachowaniu czuć było nie hurtownika, zapominającego o człowieku dla pewnej kategoryi lub idei, lecz właśnie „indywidualistę,“ pragnącego nieść pomoc konkretnemu człowiekowi. Może stosowniej należałoby scharakteryzować go jako urodzonego filantropa, wybiegającego umysłem swoim po za widnokręgi filantropii pospolitej.

I to wrażenie, które otrzymałem w pierwszych chwilach naszej znajomości, pozostało na zawsze. Zmarły był dla mnie wzorem zrównoważonej natury, łaknącej czynu indywidualizującego. Miał nadto w sobie coś z instynktów zdrowej kobiety, potrzebującej widzieć ciepło dokoła siebie oraz rozdawać je innym.

Drogi nasze rozeszły się, lecz nie o tyle, ażebyśmy od czasu do czasu nie spotykali się i nawet nie porozmawiali bardzo serdecznie. I zawsze odnosiłem z tych rozmów pożytek, — spokój. Zrównoważona natura zmarłego działała kojąco. Ale nie mogłem także nie spostrzedz innej rzeczy: pewnego smutku, takiego również spokojnego, zrównoważonego, który nieraz wydobywał się z tych rozmów i świadczył, iż rozdając dokoła ciepło i serdeczność, sam nie znajdował ogniska, przy którem zdołałby ogrzać swego ducha. I odchodziłem spokojny spokojem Bolesława i smutny dziwnie pogodnym smutkiem.

Drogi nasze rozeszły się, ale nie o tyle, ażebym nie wiedział, iż zmarły pozostał tem, czem go poznałem z czasów ławy szkolnej — dzielnym człowiekiem, całkowitym w nastrojach swoich i czynach. Szerzył wciąż to ciepło, którego taką moc nieprzebraną posiadał w duszy swojej. Ilekroć trzeba było podać rękę potrzebującemu, materyalną i duchową, zawsze on się znalazł. Ile razy chodziło o poparcie uczciwej inicyatywy, zawsze można było się do niego zwrócić. I szedł on po drodze życia zrównoważony, godzący, dziwnie spokojny na twarzy, siewca ciepła i światła.

L. Krzywicki.

BADANIA NAUKOWE.

L. Dugas: *Nieśmiałość*, studyum psychologiczne, przełożył z francuskiego Edward Stojewski. Warszawa. S. Bukowiecki, 1900, str. 136.

Autor należy do szkoły psychologów miniaturzystów, bardzo dziś modnej i rozpowszechnionej, a zasadzającej główny przewód swej badawczości na układaniu i ocenianiu drobiazgów postrzeżenia codziennego, powszedniego, w taki sposób i w takim kierunku, aby dojść tam, gdzie się podoba, gdzie się dojść zamierzyło. Nieśmiałość, z założenia Dugasa, jest gatunkiem przywary nałogowej i zarazem gatunkiem ułomności organicznej — coś graniczącego między niewprawą a chorobą. Pieczęć rodowa mocno odciśnięta na książce. Swobody prawno-polityczne i społeczno-obyczajowe Francyi teraźniejszej sprawiły, że przyrodzona ludzka obłuda, nie potrzebując chować się tam za parawan na ulicy i trybunie, w książce i w kościele — i wogólności na widowni publicznej, tem mocniejsze stanowisko obrała za kulisami życia prywatnego — familijnego i towarzyskiego. Z tego powodu śmieszne lub niedorzeczne objawy nieśmiałości zupełnie inny charakter mają nad Sekwaną, niż nad Wisłą np., lub—jak przypuszczamy — nad Dunajem i Wołgą. Mandarynizm stosunków domowych i salonowych obok sankiulotyzmu stosunków po za domem i salonem, nastręczają też autorowi całe szeregi wzorów ilustrujących psychologiczny proces nieśmiałości w formach niedostępnych prawie naszemu pojęciu, naszym wyobrażeniom o godziwej śmiałości. Weźmy przykład najbardziej uogólniony, własnej kompozycyi. Młody człowiek, starający się o rękę panienki zamożnej i wykształconej, wyszedłby w Paryżu na raroga, może na idyotę, gdyby wstąpiwszy z nią, podczas przejażdżki, na lody do kawiarni, zdjął przy stoliku kapelusz lub przechodzącej posługaczki nie uszczypał... za ucho; ale za to, nawzajem, wyrzuconoby go z pewnością za drzwi nazajutrz, gdyby przyszedłszy do domu przyszłej narzeczonej z czternastą z rzędu wizytą *ex officio*, włożył przez dystrakcyę rękawiczki koloru na dany raz nieodpowiedniego lub krawat nieprzepisanej wielkości i nieuregulowanego kształtu — a takich par rękawiczek i takich krawatów jest około trzech tuzinów, ustopniowanych według znaków znajomości ze strony bogdanki. Dla ostrożnego znajdzie się tu sto powodów do nieśmiałości graniczącej z ogłupieniem i do śmiałości przechodzącej najskrajniejszą impertynencyę. Po przez rozmaite szkopuły i szkopuliki tego rodzaju, wybrane z wynurzeń i zwierzeń ludzi znakomitych (głównie z Rousseau'a), autor prowadzi analizę naukową w sposób wielce subtelny, swoisty, przyskakujący, odskakujący, zaglądający do wnętrza duszy nieśmiałej przez drzwi naoścież rozwarte i przez dziurkę od klucza. Żaden rodzaj i żadna rodzaju odmiana nie uszła jego oka i uwagi — oprócz jednej z tych odmian: zdrowej i naturalnej. Jestem oto np. nieśmiały w gronie zbogaconych kpów, od których w jakimś stopniu zależę; oczywiście — nieśmiałość moja jest niedorzeczną i karygodną, gdyż w takich właśnie razach ciąć wolno i należy jak po główkach kapusty; ale cóżby warta była moja śmiałość, gdybym — sam osieł i łajdak rozwielmożniony — dał folgę hasłu: hulaj dusza bez kontusza wśród ludzi rozumnych i zacnych, a mniej tylko kapitalistycznych... Swoją drogą niewielka, dobrze przetłomaczona książka Dugasa, czyta się mile, z przyjemnością. Czy jednak zapowiedź, czyli raczej obietnica autora, powtórzona w przedmowie przez tłomacza („zastanowienie, refleksya, skierowana na samo objawy, źródła i skutki nieśmiałości niezdrowej lub — szkodliwej, zmniejsza ją i powoli do zaniku zmusza“), nikogo na zawód nie wystawi — o tem wątpić sobie pozwalamy. Czytelnik nie zgrzeszy zbytkiem przezorności, gdy zawczasu się uzbroi w możliwość ziewnięcia po skończeniu lektury — owego ziewnięcia głębszego, tak bardzo przypominającego westchnienia ludzi zakochanych po raz drugi i trzeci, którzy po zamknięciu szczęśliwego epilogu zajmującej historyi miłosnej, powiadają sobie w duchu: „to nie ze mną...“

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

I.

Janin: *Poezye* Kijów, Warszawa, Odesa itd. 1899. — Felicya Sochaczewska: *Poezye*, serya I. Warszawa, 1899. — Agi Wdaj: *Strofy*, 1899.

I znowu, znowu poezye!.. *und kein Ende!* Ciekawą byłoby rzeczą sprawdzić, czy jakiekolwiek piśmiennictwo uświetniło się w ostatnich pięciu lub sześciu latach taką ilością „śpiewaków bożych,“ jak nasze? Byłoby to przecie niepoślednim objawem naszej żywotności, gdyby się okazało, iż w tym względzie prześcigamy innych. Bo też namnożyło się wszelakiego ptactwa: kanarków, wróbli, szczygłów i pliszek... O każdej porze dnia i nocy kwilą, ćwierkają i gwiżdżą na rozmaite tony, przeważnie jednak usypiające. A kto niema dość przezorności, aby się trzymać zdala od tego chóru, z pewnością uczuje szczególną radość, gdy mu tą jednostajność nużącą przerwie jakiś wyróżniający się głos, choćby to był krzyk koguta. Rozweselonem okiem zajrzy w gęstwinę, ażeby w niej wykryć śpiewaka i dostrzeże p. Janina, piejącego: „Czytelniku, który jesteś z obozu darwinistów! przystań chyba na moją wiarę! Bo w cóż masz wierzyć w ten darwinizm?“ Byleby tylko mieć trochę werwy i jakąś duszę współczującą a do śmiechu skłonną, z którąby można było podzielić się wesołością, a zawdzięczać będziemy poecie chwile nadzwyczaj miłe. Warunkiem tu wszakże niezbędnym jest czytanie bez rozcinania kartek, gdzie się zdarzy... Bez tego nie!

W „poezyach“ p. Janina rymy liche, a poezyi ani ździebełka, chyba byśmy chcieli koniecznie to ździebełko upatrzyć w kilku piosnkach ułożonych, na nutę „Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły.“ Ale czytelniku, który jesteś i który nie jesteś z obozu darwinistów, na co ci poezya p. Janina? Tu chodzi o coś nieskończenie ważniejszego. Oto Darwin naukę sfałszował. Czy uwziął się na rodzaj ludzki, czy wskutek nieuctwa nieździarnie zużytkował zebrany materyał i naplótł bredni, wikłając się w niezliczone sprzeczności, dość że z po za zasłony, okrywającej przyrodę, dojrzał „jeno palce u nóg, złożone na kształt figi“; pp. zaś darwiniści „swą fałszywą doktryną chcą odzierać ludzi ze wszystkiego, co jest istotnem dostojeństwem człowieka.“ Te ich przewrotne dążności unicestwił, te ich roboty na marne obrócił p. Janin nieubłaganą logiką i niewyczerpanym zasobem erudycyi, która mu pozwala zmiażdżyć Buckla, Spinozę, Haeckla (ja *tych* wasz*ych* autoryte*tów* mam za zarozumia*łych* pędra*ków*), zapisać w nawiasie złą notę słownikowi Rykaczewskiego, a wreszcie uzdalnia go nawet do krytycznej postawy wobec twierdzeń „encyklopedyi skróconej.“ Słusznie mniemając a stwierdzając własnym przykładem, iż aby pisać wiersze, „nie trzeba mieć odrębnego poetyckiego talentu,“ autor zrymował filozoficzny poemat „Rozum i mądrość,“ podparł go innemi przecudnemi poezyami, wreszcie dodał kilkadziesiąt kart przypisów, rozsiewając takie dyamenty przenikliwości, jak: „nie zdaje się to być przyrodzonem, iżby drapieżne zwierzęta koniecznie potrzebowały żywić się mięsem.“ Pewnie. Już Izajasz głosił, że kiedy Pan potrze Asyryjczyka, lew jako wół plewy jadać będzie. Cóż kiedy Asyryjczyków się nie przebiera. Cała ta potęga p. Janina zmierza ku temu, aby zburzyć do gruntu przybytek szatański. Teraz należałoby wznieść na gruzach gmachy wspanialsze od obalonych. I p. Janin wznosi je. Posłuchajmy chwilę. Ziemia w młodości swej wydawała z siebie twory coraz doskonalsze, które ginęły kolejno w powszechnych wstrząśnieniach. „Dopiero darwiniści zaczęli zaprzeczać kataklizmy nie na zasadzie jakichbądź dowiedzionych faktów, *a* dowolnie według swojego uwidzenia.“ Otóż w ostatnim okresie „z umiarkowaniem ciepła przerzadły obłoki, grunt ziemi nasyciły organiczne soki i już typy rodzajów w ostatnim peryodzie powstały, jakie dziś są na lądzie i wodzie.“ Wtedy „w elektrycznym snadź matki swej ziemi zapale zapłodziło się jajko też człowieka w raju.“ Czy podobna? A tak! „Oczywiście był w rozwoju ziemi swój czas na to, kiedy dyamenty w jej korze jakoś się potworzyły i już więcej nie tworzą. Podobnie był w rozwoju ziemi swój czas na to, kiedy rodzajowe typy organicznych istot, i w tej liczbie typ człowieka, potworzyły się samorodnie i tak niezależnie jedne od drugich, jak niezależnie w nieorganicznej przyrodzie istnieją miedź a złoto.“ Człowiek i różne typy miały „swój czas.“ Nie miały go robaczki w serze, oglądane na własne oczy przez autora, a które w tym serze samorodnie powstały, wbrew zdaniu darwinisty Pasteura; nie miały go i... wszy, które niekiedy „przy sprzyjających warunkach“ powstają z ciała ludzkiego, jak o tem wie p. Janin również z własnego doświadczenia. „Owóż jajko to ludzkie, w raju zapłodzone, w jakiemś delikatnem mułu wyżłobieniu, dostatkiem mając mlecznych soków w otoczeniu, najpierw znacznie wyrosło“ itd. Czytelnik domyśla się, że to dopiero podstawy wspaniałej przyrodniczo-filozoficznej budowy, wzniesionej przez p. Janina. Środkowe jej piętra — to wyjście „Adasia“ ze skorupy, ze wstęgą jeszcze nieożywionej Ewy wokół ciała, to wykarmienie dziatek przez kozę (dowód w mycie o Jowiszu i Amaltei) itd. A szczyty — to „dusza duchowa“ i „wolna wola“ i „mądrość,“ przeciwstawiona rozumowi, i wiele innych rzeczy, do których dotrzeć nie zdołałem, pomimo że z wielkim trudem wspinałem się na wieżycę. Czyż nie będę rozgrzeszony nawet przez czytelnika, który nie należy do obozu darwinistów? Zresztą autor łaskawie przebacza słuchaczom, jeżeliby im tchu zabrakło i daje im zbawienną radę: „Więc jeżeli tobie, czytelniku, moja filozofia nie podoba się, a darwińskiej filozofii bronić nie możesz, to najbezpieczniej dla ciebie, nieprzyjmując żadnych filozofij, wierzyć w to tylko, co kościół św., matka nasza, do wierzenia podaje; wówczas przynajmniej grzechu nie będzie.“ I to wszystko razem nazywa się „poezyami“ Janina. Ani mogłem, ani chciałem zresztą wyławiać z nich wszystkich osobliwości. Zostało jeszcze dość na pociechę chętnego czytelnika. Więc jeśli łaska, proszę zakosztować...

I Felicya Sochaczewska również ofiarowała nam „Poezye.“ Spędzamy wszakże uśmiech z warg, przystrajamy twarz w obowiązkowy wyraz skupienia. Bo jeżeli gdzieś spotkamy szczere uczucie i szczery ból, być może silniejszych wzruszeń nie doznamy, ale na szyderstwa miejsca tam niema. I co do formy, jakkolwiek świetną nie jest, posługuje się wytartymi obrazami i nuży brakiem urozmaicenia, nie razi przecież krańcowem niedołęstwem „twórcy.“ Ale tem gorzej...

Natchnienia autorki odznaczają się jednostajnie ponurą barwą. „Pochodnią mi rozpacz, wskazówką zwątpienie.“ Poetka dąży tu do światła i piękna, prawdy i dobra, a wszystko to były miraże, a zostały tylko ciemność, ból i niewiara. Pożyczając słów u Hagary Ujejskiego, woła z boleścią: „I nigdy już, nigdy nie zaznam spokoju i dręczyć się muszę tak ciągle, bez końca? I nigdy w zapomnień nie skąpę się zdroju, i ścigać mnie będzie upalny skwar słońca?!..“ I pęka serce (ma się rozumieć), i przed stopami widnieje mogiła i nicość, i wreszcie „Belzebub sam“ pochwycić pragnie w piekielne uściski biedną wygnankę z krain światłości i wesela... Z powodu owego Belzebuba, niech autorka przyjmie życzliwą radę: niech oględnie szafuje silnemi wyrażeniami, bo one bardzo często wywołują nie grozę, lecz... całkiem odmienne uczucie. Ale mniejsza o to. Nie mniejsza przecież, iż zgoła niewidne są nam potęgi, co miód marzeń dziewiczych zmieniły na gorzkość napoju Eklezyasty. Autorka jednakże daje nam kilka malutkich promyków światła: „Aniołem się staje kobieta kochana, bóstwem—szczęśliwa.“ W usta takiego anioła i bóstwa — oczywiście w chwili, kiedy skupia w sobie te anielskie i boskie właściwości i z pod władzy Belzebuba jest uwolniona — poetka wkłada te znamienne słowa: „Po co wszystko? po co żyję? Nie pytam, nie badam, i w zwątpieniach się nie wiję, bo zagadek klucz posiadam.“ Jeżeli tak jest naprawdę, i my również zdobyliśmy klucz do pesymizmu niewieściego. Oglądaliśmy go zresztą już w rękach Laury Marholm.

Do społecznych zwątpień poetki klucza nie potrzeba. Oto np. „Dwaj prorocy“ biblijną nutą przypomną nam niektóre melodye Ujejskiego. Gdzieindziej skarży się autorka, że w średnich wiekach świata panowało żelazo, teraz zaś ludzie kłaniają się złotu. Przedstawiciel słowa, poeta, musi odejść niewysłuchany, bo ciżba uwierzyć mu nie chce, jak „chciałby szczęśliwą przycisnąć do serca.“ I dobrze robi, że nie wierzy. Czy pamiętacie w „Pracownikach morza“ walkę fantastycznego polipa z człowiekiem? Wyobrazić sobie nie umiem gromady, złożonej z ośmiorękich polipów i istot dwunożnych, którąby chciał ktoś do serca przyciskać. Nie zapewne nie wyplenią mi z duszy nadziei, iż tam niegdyś... kiedyś... tylko wspomnienie o ośmionogach pozostanie; lecz póki istnieją i póki o swój byt zapasy toczą, dopóki swój ustrój i instynkty zachowują, słowem dopóki są sobą, a śmierć lub cierpienie jest warunkiem ich życia — nie godzi się ckliwą słodyczą równo wszystkich bojowników obdzielać. Zgoda lub niezgoda nasza z teoretycznymi poglądami poetki jest rzeczą obojętną. Trzeba tu mieć na uwadze inny wzgląd. Poezyi nie stwarzają blade aluzye do pewnych zjawisk powszechniejszych, choćby one ciążyły nad każdym z nas zosobna, choćby autor poruszał takie zagadnienia, jak nędza, jak waśnie społeczne i narodowe. Cokolwiek jest treścią i źródłem natchnień poetyckich, koniecznie winny być one zindywidualizowane; poeta musi bodaj w pewnej mierze patrzeć na rzeczy, „jak nikt przed nim i nikt po nim,“ odczuć je w jakiś szczególny, sobie właściwy sposób i wyrazić znowu, jak nikt przed nim i po nim, bodaj w pewnej mierze—powtarzam. A takiej samoistności nie sprzyja stanowisko moralisty, pokrapiającego polipy święconą wodą życzeń pobożnych, w rodzaju tego: „rzućcie waśnie, bratnie ludy.“ To mniejsza, że w formie i treści dostrzeżemy reminiscencyj tu z Ujejskiego i Krasińskiego, owdzie z Asnyka lub Konopnickiej. Są one bardzo niewyraźne, może wątpliwe. Naśladownictwo stosuje się zwykle do szczegółów tylko; lecz poezya F. Sochaczewskiej w samej istocie swojej nie jest oryginalną. W uczuciu i wyobraźni autorki niema snać wiecznie bijącego źródła siły twórczej, siły wszystko przeistaczającej na własny wytwór. I oto dlaczego w 1-ej seryi jej poezyj nie znaleźliśmy świeżych pomysłów i dlatego jej wiersz nie jest zamkniętą w sobie jednostką artystyczną, lecz tylko litanią pytań, czy jęków i dlatego „Poezye“ F. Sochaczewskiej są często poczciwe, ale także szare, szare...

W „Strofach“ Agi Wdaj znajdziemy niejedno, cośmy przed chwilą spotkali u F. Sochaczewskiej. Na wstępie już autorka wzywa snu, żeby osłodził gorycz „życia zdarzeń,“ jakkolwiek wie, że lekarstwo to nie jest całkiem pewne. „Ach, gdyby we śnie nie było snów, marzeń, i gdyby po nich nie było zbudzenia.“ Chcecie posłyszeć tu jakie echo „Hagary,“ jak to było w poprzednim zbiorku? Oto jest: „Jak kwiaty pustyni spalone od słońca, jak palma, którą wiatr miota, tak wątła i blada jej postać chwiejąca stąpała po ścieżkach żywota. Raz tylko, raz jeden ujrzała w oddali ożywcze źródło oazy“ itd. Jest i klucz, rozwiązujący zagadki wszechistnienia: „Nigdyż już słodko nie zasnę, jak dziewica, śpiewem nieziemskich kołysana sfer? Nigdyż z ufnością nie złożę wrzącej skroni na sercu, które zgodnie z mojem drgnie, na piersi tej, co mnie od burz zasłoni?“ Jak przystoi na przedstawicielkę „Słowa,“ poetka zakłada protest przeciw Żelazu, opowiadając szereg smutnych skutków, jakie wojna sprowadza dla zwycięzców nawet, nietylko dla zwyciężonych. w apostrofie „Wiekowi XIX“ nie pomija złotego cielca...

Obok rzeczy podobnych, jest, rozumie się, i wiele odmiennych. Autorka ma już za sobą długi zawód poetycki. Niektóre jej utwory (jak wiersz „Do mężczyzny“) pamiętamy od lat kilkunastu. Miała czas żyć i doświadczać. Ta okoliczność zapewne wpłynęła na to, iż w poezyach Agi Wdaj czuć mniejszą teoretyczność, niż u Sochaczewskiej, a więcej bezpośredniego wsłuchiwania się w drgnienia swego serca, więcej zatem oryginalności. W związku z tem idzie nierównie większe urozmaicenie formy, nie zawsze zresztą poprawnej, a nigdy świetnej. Są tu i pomysły, mniej więcej samodzielnie rozwijane, i obrazy na większą skalę; zakres poruszanych tematów jest także obszerniejszy. Wogóle czytając „Strofy“ bezpośrednio po „Poezyach“ F. Sochaczewskiej, dostrzegamy, zda się, różnicę pokolenia. Różnica ta wyraża się zarówno w uleganiu wpływowi Konopnickiej z wcześniejszej doby jej

twórczości, jak w pewnej przewadze, oddawanej zagadnieniom ogólniejszym nad osobistemi. Jedno z nich zwłaszcza—sprawa niewieścia, stosunki między kobietą a mężczyzną, często staje przed umysłem poetki, a rozstrzygane bywa niekoniecznie sposobem Laury Marholm. „Gdy serce boli, gdy słabnie duch, nie szukaj samotnej ustroni, rzuć wtedy się w życie, wir, walkę i ruch, tam znajdziesz ochłodę dla skroni.“

Jeżeli wszakże Agi Wdaj nie zawsze mówi to, co Sochaczewska, najczęściej mówi tak samo. Zapewne, jest jakaś różnica tonu, ale jaka? Wytarta aż do ostatnich żyłek przenośnia poucza nas, iż na drzewie nie znajdziesz dwu zupełnie podobnych do siebie listków. Niema więc wątpliwości, iż w długim szeregu wieszczów, wymienionych lub niewymienionych przez nas, jak Rydecki, Laszczyński, Zalewski, Witmir, Klemensiewicz... imię ich legion... każdy jest inny. Lecz jak dać poznać znamiona osobnicze każdego pojedynczego liścia? A choćbyśmy pokonali trudności uplastycznienia tego, co z natury swej jest mdłe i niewyraźne, co komu po „indywidualnościach“ tego rodzaju? Co do Agi Wdaj... cenimy autorkę z pewnością wyżej, niż niejednego z wspomnianych wierszorobów, ale utwory jej, jakkolwiek sympatyczne i rozsądne, odznaczają się chyba zaletami publicystycznemi, lecz nie poetycznemi..

(C. d. n.).

A. Drogoszewski.

NOWY CYKL ZOLI.

Po cyklu Rougon-Macquartów nastąpił cykl „wielkich miast,“ po tym zapowiedziano nowy cykl, którego pierwsza część, *Płodność*, świeżo ukazała się na wystawach księgarskich. Naturalnie będzie ich cztery, zwiastujących światu nową prawdę społeczną, którą Zola wypracował i teraz zamierza obwieścić. Zawrze w nich, jako w testamencie, całą swoją filozofię praktyczną. Płodność, praca, prawda, sprawiedliwość — oto zapowiedziane główne zasady.

„Jeśli płodność — tak rzekł Zola do kogoś — stwarza rodzinę, to praca jest niezbędna do jej utrzymania, oraz rozwoju narodu. Nieżyczliwi lub powierzchowni krytycy oskarżali mnie zawsze, iż jestem pesymistą, wówczas gdy ja nieustannie z zapałem głosiłem zalety pracy, jako niewyczerpanego źródła życia i dzielności. Bezczynność jest śmiercią. Dzieci mojej wyobraźni będą głosiły nową religię przyszłego społeczeństwa, religię, opartą na pracy, prawdzie i sprawiedliwości.“

Trzeba było posiadać nielada odwagę, ażeby podjąć analizę brudów życia i dokonać jej z taką bezwzględnością, jak to uczynił Zola, istotny epik rozkładu społeczeństwa mieszczańskiego. Ten przymiot charakteru nie opuszczał go w ciągu całej jego działalności powieściopisarskiej. Zola nie cofnął się przed oburzeniem opinii mieszczańskiej, a w ostatnim swoim utworze nie uląkł się nawet śmieszności, przed którą tchórzą nieraz nawet najodważniejsi. Bo zaiste u wielu czytelników pisarz francuski może właśnie wywołać na ustach uśmiech politowania: wobec nastroju, panującego u większości „intelectuels“ francuskich, prostacze zdrowe rady zwiastuna nowej ewangelii spotkają pogardę. Ale podziwiając odwagę Zoli, jednocześnie musimy przyznać, iż poglądy jego bynajmniej nie grzeszą głębokością. Płytkość jego analizy jest niemal zdumiewająca! Ujawniła się ona już w *Paryżu*, w którym obok głębokich obrazów zgnilizny i sobkostwa plutokracyi mamy na każdej prawie stronicy do czynienia z zupełnem niepojmowaniem tego, co we wnętrzu społeczeństw nowoczesnych wre i kipi. To samo znajdujemy w pierwszej z zapowiedzianych ewangelij. Dzielne obrazy nędzy społecznej i upodlenia obok płytkiego zrozumienia czynników, stwarzających te zjawiska, rady fizyologicznie zdrowe, ale w dziecinny sposób pojęte warunki społeczne ich urzeczywistnienia, nadewszystko dziwna sentymentalność, która dobra jest u Roda, ale zgoła nie pasuje do oblicza twórcy epopei upadku mieszczańskiego. Zola, cokolwiek mówionoby, przedstawia zdrową siłę społeczną, dzielną i uczciwą, ale siłę skrępowaną ideami mieszczańskiemi, które pętają go i uniemożliwiają mu wzlot po nad poziom znachorów pospolitego demokratyzmu. Nie wiemy, czem będą dalsze części, pierwsza przecież jest nadaremnem wołaniem na bezludnej pustyni do martwych głazów, które naturalnie nie raczą się nawet poruszyć, chociażby prorok padł zabity wzrszeniem własnem i wysiłkiem.

Nowy utwór, *Fecondite*, słaby, jako płód analizy, jest również chybiony jako dzieło artyzmu.

Przypomina mi się obłąkany malarz, bohater jednego z dawniejszych utworów Zoli: maluje on obraz mostu paryskiego, a w pośrodku rzeki umieszcza nieproporcyonalnie wielką łódź z trzema nagiemi kobietami, nie wiadomo po co. Taką figurą nadmierną, nieproporcyonalną jest zwiastun pierwszej prawdy społecznej, płodności, Mateusz Froment, a raczej jego rodzina, hołdująca maksymie, iż „co rok, to prorok,“ karczująca nieużytki i zarośla, piaski zamieniająca na żyzne pola, zdobywająca wciąż nowe stanowiska społeczne nietylko w samej Francyi, ale także za granicami kraju, w koloniach nad Nigrem.

Sąsiedzi i znajomi, trzymający się zasady dwojga lub jednego dziecka, uśmiechają się litościwie na taki przyrost; ale w miarę rozwoju pomyślności płodnego Mateusza lekceważenie zmienia się na zazdrość. Niestety, czytelnik odnosi inne wrażenie: rosnącego fałszu artystycznego, który wreszcie tak wzmaga się, iż cały utwór ulega wykoszlawieniu. Ewangielista zabija artystę, wygórowana tendencyjność niszczy poczucie piękna. Siła pióra Zoli polegała na potędze, z jaką brutalność życia roztaczała się w jego utworach. Czytelnik zostawał ogłuszony, kompletnie przybity pędem rozkiełznanej rzeczowości społecznej, umysł jego zaś zdjęty podziwem w obliczu zwartego pasma czynników materyalnych i ślepych instynktów, rządzących ludźmi i ich uczuciami. Mniejsza w jaki sposób, dość iż powieściopisarz panował nad nim i wygrywał na jego nerwach swoją melodyę. *Płodność*, pełna nieprawdopodobnego sentymentalizmu, przestaje wywierać wpływ taki, czytelnik panuje nad treścią utworu, a wraz z tem urok, wywierany przez Zolę, znika.

Są ustępy silne, pozostawiające wrażenie, lecz całość chybia celu. Jest rodzina fabrykanta Beauchêne, mistrzowsko przedstawiona. Małżonkowie, zajęci robieniem majątku, postanawiają poprzestać tylko na jednem dziecku, ażeby nie dzielić swego mienia. Żona patrzy przez szpary na pozadomowe romanse męża, w których on coraz bardziej zatapia się. Oboje dla Fromentów mają tylko uśmiech politowania i żartują z ich filozofii płodności. Zapatrzeni w jedynaka, żyją jego przyszłością. Młodzieniec umiera. Rozpacz rodziców nie zna granic, ale jeszcze pozostaje im nadzieja, iż zdołają mieć drugie dziecko. Organizm żony, wyniszczony długą bezpłodnością, nadto wykoszlawiony systematycznem używaniem środków, zawodzi. Rozpoczynają się kłótnie: mąż pogrąża się w rozpustę pozadomową, żona męczy lekarzy; fabryka, w której podrastające płodne pokolenia Fromentów zaczynają rej wodzić, upada, Beauchênowa pała coraz większą nienawiścią ku nim, przyczynia się do śmierci jednego z tych młodych zdobywców, pragnie zgładzić też drugiego. Umiera, zabita powodzeniem płodności tych współzawodników.

Jest tam rodzina drobnomieszczańska Morandów, oficyalistów w fabryce. Małżonkowie pragną posiadać dzieci, ale na nieszczęście rodzi się im córka. W obawie, że i inne dzieci będą płci żeńskiej, wyrzekają się dalszego potomstwa, pomimo całego przywiązania do siebie. Całe ich życie zwraca się w kierunku zapewnienia jedynaczce posagu i wydobycia się z położenia drobnomieszczańskiego. Ale żona przypadkiem zachodzi w ciążę. Bojaźń, iż przyjdzie na świat córka, skłania małżonków do szukania pomocy pewnej pokątnej osoby, co Morandowa przepłaca życiem, umierając w ohydnej norze wśród krwotoku. Mąż żyje teraz tylko dla córki. Lecz i tutaj spotyka go zawód. Jedna z przyjaciółek jej matki, kobieta dotknięta chorobliwą zmysłowością, wprowadza dziewczę na drogę rozpusty, o której ojciec dowiaduje się dopiero wtedy, gdy przyniesiono mu wiadomość, iż córka jego umarła w taki sam sposób i w takiej samej norze, jak matka. Obłąkany, w jednym z pokojów buduje im ołtarz i składa na nim wszystkie swoje oszczędności. Po śmierci jego będzie tam leżało sto tysięcy franków w złocie, jako ofiara.

Jest bogaty właściciel ziemski, Seguin de Hordel. Ten stworzył całą filozofię na usprawiedliwienie bezpłodności — filozofię człowieka, pragnącego używać. Potępia on macierzyństwo ze względów estetycznych, żonę zaś zrobił swojem moralnem odbiciem. Wprowadza ją w świat rozpusty idejowej, złożony z pajaców ducha i sofistów tak zwanego piękna. Pomimo ostrożności, zachodzi ona w ciążę. Mąż nie chce przyznać dziecka za swoje, przyczem pod maską wyrafinowanego estety-filozofa ukazuje się oblicze najpospolitszego gbura filistra. Następuje rozdźwięk w rodzinie, każde z małżonków szuka zaspokojenia na własną rękę: on wprowadza utrzymankę do domu jako bonę dzieci, ona oddaje się jednemu z literackich nierządników.

Jest jeszcze rodzina włościańska, także trzymająca się zasady krańcowego ograniczania liczby dzieci. Są wreszcie inne sylwetki. Każdy z tych wątków odznacza się umiejętnem obrobieniem, ale ogół ich, powiązany w całość powieściową, sprowadzony do tego samego ostatecznego wyniku, tylko potęguje fałsz artystyczny. Pozostaje wrażenie szopki, w której złym osobistościom Lucyper masowo łeb ukręca...

Ale jeśli powieść sprawia wrażenie, iż jest nieprawdopodobnym zlepkiem zdarzeń, a nieraz tylko traktatem publicystycznym, pisanym w formie dyalogicznej, to natomiast tam, gdzie Zola przedstawia zakulisowe życie Paryża, odzyskuje on dawną swą siłę, jako malarza żywiołowych potęg życia.

Paryż, ów Paryż, występuje przed nami jako żyjąca kategorya społeczna, jałowa i bezpłodna. Wszystko tam pospołu oszukuje potrzeby organizmu: kobieta jest, jako jestestwo fizyologiczne, trzymana w podrażnieniu, głód jej podniecany, lecz nigdy niezaspakajany. Powściągliwość celowo stosowana, wyraźnie sformułowana, jako prawo, panowała nad tłumami, ogarniała całą stolicę. Z nadejściem nocy, gorący bruk Paryża, rozpalony walką o byt i troskami dnia, zamienia się na pole kamieniste, na stwardniałą niwę, na którą nie pada żadne nasienie. Bezpłodność powszechna bezwstydnie obchodzi swoje tryumfy. Obawa dzieci ogarnia śpiący gród, mężowie nie chcą ich posiadać, matki nosić w swojem łonie. Miasto, niby potwór, roztacza się przed nami — wyklinając siejbę stołeczną.

Potem widok inny.

Ten sam Paryż, ta olbrzymia kategorya społeczna, tu i owdzie jest świadkiem, jak ziarno przypadkiem przyjmuje się. Lecz nie dojrzeje ono. Istnieją specyaliści, którzy je przed czasem usuną. I Zola wprowadza nas w brudne zaułki, gdzie czycha chciwość i mord, cierpienie i śmierć, unoszące potomstwo zanim ono przyjdzie na świat.

Jeszcze inny obraz.

Tu i owdzie ziarno na kamienistej i nieurodzajnej niwie dojrzało. Lecz wyrosło ono w takich warunkach, iż skazane jest na zatratę. I znowu przed nami zaułki, w których matki kryją się, kiedy nadeszła chwila rozwiązania, a jeszcze dalej w oddaleniu na wsi hurtowe fabryki aniołków z ich hurtowymi środkami rzezi niemowląt. I znowu śmierć, upodlenie, cierpienia. A jeśli któreś z przeklętych ziaren wyrośnie, żniwa są jaknajgorsze, powstają rzezimieszkowie i paryasi społeczni.

Paryż chce używać, nie zaspakajając potrzeby macierzyństwa. Niszczy ziarno ludzkie przed czasem i po czasie, wynajdując nowe sposoby. Ale wszystko to nie znosi obawy, tającej się w alkowach legalnych i nielegalnych — obawy, iż padnie ono na glebę urodzajną. Nauka przychodzi na pomoc. Tam w eleganckiej części Paryża wznosi się przybytek chirurga lekarza. udająca się o poradę kobieta wychodzi od niego, poddana operacyi, niszczącej zbiorniki siły rozpłodczej. Rzecz odbywa się jawnie, jak na scenie teatralnej, wobec świadków i natłoku reporterów. Ofiary opuszczają przybytek uradowane, czeka je użycie bez dalszych następstw. Lecz mija rok jeden i drugi Organizm skaleczony więdnie, włosy wypadają, skóra ściąga się, w wieku lat trzydziestu następuje starość. Usunięcie zdolności macierzyńskiej wywołuje jednakowe skutki, czy pojawiło się w sposób sztuczny lub drogą naturalnego uwiądu czynności. A takich zestarzałych przed czasem kalek jest kilka dziesiątków tysięcy z przekleństwem na ustach dla szalbierza-wybawiciela...

Ponure obrazy, bezpłodna gleba, wynaturzone instynkty, zrujnowane zdrowie ciała i ducha!

K. R. Żywicki.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Edmund Rostand. *Cyrano de Bergerac*, komedya bohaterska w 5 aktach, w przekładzie Maryi Konopnickiej i Włodzimierza Zagórskiego.

Brandes nazwał świeżo tłomaczenia w stosunku do literatury świata „malum necessarium." Określenia tego żadną miarą nie można przystosować do przekładu, dokonanego przez Konopnicką i Zagórskiego. Przekład ten jest czemś niepospolitem, w znacznej części wywiera wrażenie utworu oryginalnego, a niektóre ustępy są istnemi arcydziełami. Od czasu tłomaczeń Mickiewicza nie spotkaliśmy się z czemś podobnem. Na dowód, że mniemanie nasze nie jest gołosłownym, entuzyastycznym zachwytem, pozwalamy sobie zestawić dwie sceny „balkonowe," jedną z „Romea i Julii" w tłomaczeniu Mickiewicza, drugą z „Cyrana" w przekładzie Konopnickiej.

Mickiewicz odtwarza wyznanie rozkochanego Romea:

Kto rany nie odebrał, żartuje z żelazem...
Lecz stójmy, co to w oknie błysnęło zarazem?
To wschód słońca, a słońcem sa Julii lica.
Wnijdź, o prześliczne słońce, na zgubę księżyca.
Już ta bogini zbladłe odwraca jagody,
Ujrzawszy nimfę ziemską celniejszej urody.
Przestań być nimfą bóstwa zazdrosnego tobie.
Nimfy Dyanny chodzą w zielonej żałobie.
Zieloność barwą głupców — porzuć modne stroje!
To ona! moja pani! o kochanie moje!
Gdyby wiedziała, że ją kocham tyle!
Mówi, ale nie usty; zaczekajmy chwilę,
Mówi okiem; w mem oku odpowiedź gotowa!

Konopnicka zaś przekłada wyznanie rozkochanego Bergeraca, gdy go Roksana pyta:

Roksana:

Jakież słowa mi powiesz?

Cyrano:

Wszystkie, o jedyna,
Jakie mi kwitną w sercu... Nie wiążąc ich w snopy
Zroszone ci je rzucę garściami pod stopy...
Bo cię kocham, bo one swą wonią mnie duszą,
I — jeśli zginąć nie mam — do ciebie dojść muszą.
Imię twoje w mem sercu jest jak serce w dzwonie,
A gdy mówię, gdy słuchasz mnie na twym balkonie,
Drży dzwon serca i w piersi mej uderza młotem
A w dzwonie imię twoje dźwięczy szczerem złotem;
Każdy drobiazg mi drogi, co dotyka ciebie...
Przed rokiem był poranek i maj stał na niebie,
Puściłaś luźno włosy i szłaś złota cała...
Więc jak w tarczę słoneczną, gdy nad ziemią pała,
Wzrok, zbyt długo utkwiony, nie widzi nic zgoła,
Prócz rumianej światłości złocistego koła,
Tak ja po twojem przejściu olśnion od promieni
Włosów twych, wszędzie jasność widziałem w przestrzeni! —

Język taki, to wylew natchnienia, lśniący od klejnotów piękności poetyckich. A przytem co za szerokość frazowania! Ustęp ten jest nietylko arcydziełem przekładu, ale poezyi wogóle.

Do tych wyżyn doskonałości Zagórski nie wzbił się, ale i jemu nie brak mistrzostwa. Jeżeli przekład Konopnickiej pozwoliliśmy sobie zestawić z tłomaczeniami Mickiewicza, to przekład Zagórskiego nie zawahalibyśmy się w wielu miejscach przyrównać do języka Fredry. Czyż taka „balada" z pierwszego aktu nie posiada lekkości językowej najlepszych ustępów Papkina z „Zemsty?" Czyż nie wywiera wrażenia utworu oryginalnego następujący urywek:

Le Bret:

Gdybyś swą muszkieterską chciał okiełzać duszę,
Grosz, sława...

Cyrano:

Cóż więc w celu tym uczynić muszę?
Uczepić się gdzieś klamki na magnackim dworze
I jak ów bluszcz po dębu pełzający korze,
Piąć się w górę służalstwem a nie własną siłą?
Nie, dzięki!.. Dedykować, jak tylu zrobiło,
[illegible] mecenasom głupim, i przywyknąć,
By słuchając ich bredni w nos śmiechem nie ryknąć,
Na błazna lisi ogon w pióropusz zamienić.
By chmurną twarz ministra śmiechem rozpromienić?

Takie przekłady to nie „malum necessarium." Ażeby w ten sposób przetłomaczyć nie jakieś kilka lub kilkanaście stronic, ale cały utwór, trzeba być prawdziwym mistrzem języka i obracać się w nim tak swobodnie jak ryba w wodzie.

Dzięki temu niepospolitemu przekładowi teatr Letni miał zadanie ułatwione. Drugą kategoryą ułatwienia było sprowadzenie z zagranicy całej wyprawy scenicznej, począwszy od dekoracyj, skończywszy na kostiumach. Wreszcie trzecią i najważniejszą był fakt, że sztukę grano pierwej na najlepszych scenach Europy. Publiczność winna sobie należycie uświadomić całą różnicę, jaka zachodzi pomiędzy inscenizacyą oryginalną i wzorowaną. Aktorzy do tego stopnia interesowali się szczegółami gry francuskiej, że nawet sprowadzili sobie gumowy odlew maski Coquelina w roli Cyrana.

Mimo to wystawienie tej sztuki pod wieloma względami wykazało poważne braki. I nie mogło być inaczej. Teatr nasz w dobie obecnej posiada wszystkie cechy kierunku „bez kierunku." Dawne tradycye gry i dawna kultura estetyczna poszła do grobu razem z pierwszorzędnemi siłami aktorskiemi i ze starym repertuarem, który teatrowi naszemu nadawał odrębną fizyognomię. Nowa doba kultury estetycznej nie nastała; nie powstał nowy repertuar, nie wyrobiła się nowa gra. Stare tradycye upadły nie wskutek nowych dążeń, tylko wskutek braku wszelkich dążeń. Zapanował eklektyzm repertuarowy, uniwersalność artystyczna, w której wołu zaprzęga się do karety a wierzchowca do pługa.

Niby to oddychamy od niepamiętnych lat literaturą i kulturą francuską. Posiadamy nawet szereg autorów beletrystycznych i scenicznych, którzy „wyrobili się" na literaturze francuskiej. Na afiszach naszych teatrów widnieją w przeważającej ilości sztuki pochodzenia francuskiego. Zdawało się zatem, że ramiona nasze były dostatecznie wygimnastykowane do przyjęcia w uścisk Rostanda. Ale też tylko ramiona.

Jesteśmy na przedstawieniu „Cyrana." Podnosi się zasłona Gdzież ów świat francuski? Żali ten aktor tam nie przypomina jakiegoś Szweda z czasów Karola XII? A tamta aktorka czy wdzięczeniem się swem nie przypomina raczej jakiejś żywej kwiaciarki z dzielnicy Santa Lucia? Czy ceremonialne ukłony dam XVII wieku nie były podobne do karykaturalnych pantomin z areny przy ulicy Ordynackiej? Co się to działo z naszą francuszczyzną?

Ulegliśmy złudzeniu. Teatr nasz nie był przygotowany do wystawienia rzeczy stylizowanej i nie posiadał odpowiedniego kompletu aktorów. Stoczyliśmy lekkie wino francuskie do butelki po piwie — i stąd mały niesmak

Długoletnią kulturę estetyczną całej sceny i odpowiednie przyrodzone warunki zastąpiła niesłychanie sumienna praca jednostek.

Mamy na myśli przedewszystkiem Frenkla.

Aktor ten niema w sobie ani jednego atomu francuskiego: postawą, manierami, głosem, zbliżałby się raczej do typu jakiegoś znakomitego artysty ze scen niemieckich. Nigdy nie występował w rolach lirycznych, tem mniej w rolach wykwintnisiów. Dzięki inteligencyi, wykształceniu, pracy i sumienności przedzierzgnął się w gaskońskiego zawadiadrogę, poetę i fechtmistrza, nosala i czułego kochanka, Don-Kiszota i subtelnego satyryka. Wygłaszał czułe wyznanie miłości pod balkonem wykwintnisi z XVII wieku i umierał w gorączce w mroku zachodu, przy dźwięku dzwonów klasztornych i deszczu złotych liści opadających z drzew.

Andrzej Niemojewski.

POEZYE

Hymn do słońca.

Zawsze, zawsze, o słońce me, za tobą tęskniłem.
Nad nędzą myśli mojej, nad kroków moich pyłem,
Jak w snop, wystrzelający nad ziemski brud i kurz,
Wierzyłem w ciebie długo, długo i nieskończenie,
Jak w hostyę z rąk przeczystych, jak w wizyjnych wcieleniu,
O święty srebrnołuki strzelcze, o duszo dusz!

Władco, co szlaki nieba prujesz swemi rydwany,
Co, jak śmierć, jesteś wielki, jak śmierć, niepokonany
I co dnia konasz krwawo, ażeby wskrzesnąć znów!
O bóstwo wszechpłodności, co ciemnic rwiesz na sztuki,
O ty promiennostrzały, święty i srebrnołuki
Dreszczu mojego życia, wykwicie moich snów!

Śniłem o tobie — w blasku królewskim i purpurze,
Pękającem w granatów pąs i zemdlone róże

I jehowicznem mocą piorunnozłotych dzid.
I byłoś mi przez długie bezsennych nocy wieki,
Jak myt błękitnoszary, zamglony i daleki,
Dziecięcouroczysty, niepokalany myt.

Wierzyłem nieprzerwanie, święcie i uroczyście,
Jak w śmierć, w twe niezachwiane objawienie i przyjście
W szkarłacie piór ognistych, w roztrysku złotych zórz —
I w snach widziałem święte królestwo twe na ziemi —
A dziś biję się w piersi pięściami skrwawionemi—
I wiem, żeś nie jest bogiem, wiem, że nie przyjdziesz już!.

Wierzyłem, że twe groty świat łamią i druzgocą,
Wierzyłem w wieczną walkę twojego światła z nocą
I w wielkie wszechzwycięztwo kosmicznych twoich sił.
Wierzyłem, że wokoło złocistej twojej osi
Melodya niewcielonych prabytów się unosi,
Roztrącająca wiry mgławicznych sfer i brył.

Wierzyłem, że gdzieś za mną, pode mną, czy nade mną
Tętnisz własnym oddechem, bijesz mocą tajemną
W niezawisły, olbrzymi, płomieniejący zdrój —
I nie wiedziałem, bożku, że w mrokach twej pagody —
Sam wyciosałem ciebie natchnieniem piersi młodej
I że w twą bryłę martwą zakląłem żywot mój!

Nie wiedziałem, że z błędnej orbity do orbity
Ja sam rozpiąłem smugi melodyi srebrnolitej
I zlałem snopy blasków z błękitnobiałych kruż,
Że z ziemi aż do nieba po wszystkie świata końce —
Sam rozpaliłem ciebie — czy słyszysz mnie, o słońce!
I, żeś ty nie jest bogiem i że nie przyjdziesz już!..

Wierzyłem nieprzerwanie, święcie i uroczyście,
Jak w śmierć, w twe niezachwiane objawienie i przyjście
I w snach widziałem święte królestwo twe na ziemi...

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ LUDOWY.

II.

Nasi doradcy ludu, po za ludem, mówią o wytworzeniu w kraju takiego przemysłu domowego, któryby zapewnił włościanom i mieszczanom-rolnikom zarobek w chwilach wolnych od zajęć około gospodarstwa, a więc głównie w zimie. Środek taki istotnie może mieć doniosłe znaczenie ekonomiczne dla mas ludności, ale tylko w takim razie, jeżeli się rozwinie racyonalnie i systematycznie, jeżeli nie stanie się owocem zabiegów filantropijnych, lecz wynikiem dojrzałości i uświadomienia ekonomicznego tych mas. To wszystko, co się robi dotychczas, nosi charakter szkółek ogrodniczych na piaskach, roboty doświadczalnej gromadki amatorów, nieobeznanych dokładnie z warunkami fizycznemi i geograficznemi gleby uprawianej.

Przemysł ludowy, jako wytwór samorodny, przekazywany z pokolenia na pokolenie, istnieje w różnych okolicach kraju, ale podobny jest do dziczek, które zaczynają wydawać owoce piękne, obfite, zdolne do użytku szerszego dopiero wtedy, gdy je ręka umiejętna przekształci za pomocą szczepienia. Próbki takiego przemysłu pokazano na tegorocznych wystawach prowincyonalnych w Płocku i Radomiu. Na szczególną zaś uwagę zasługuje tkactwo, względem którego sekcya przemysłu ludowego zaczyna odgrywać taką rolę, jak nóż ogrodników względem dziczek uszlachetnianych. Za pomocą praktycznej szkoły tkackiej w Stanisławowie (w okolicach Nowomińska) stara się ona rozpowszechnić śród ludu tkactwo udoskonalone, bardziej odpowiadające wymaganiom spożywców.

Jeden dowód zaczerpniemy z listu p. Jaroszewskiego (ziemianina z pod Wyszogrodu), pisanego do prezydyum sekcyi: „W końcu roku zeszłego wybrałem jednego ze zdolniejszych chłopców, syna gospodarza małorolnego z Brodów, Krajewskiego i wysłałem go do Stanisławowa na naukę tkactwa. W ciągu półtora roku nauczył się rzemiosła bardzo dobrze, powrócił pod strzechę ojcowską i, rozpromieniony chęcią do dalszej pracy, zrozumiawszy, iż nie działałem z jego krzywdą, pracuje obecnie przy warsztacie. Sąsiedzi i rówieśnicy Krajewskiego, gdy odjeżdżał do Stanisławowa, żartowali z niego, odradzali mu, a dziś chętnie wstąpiliby w jego ślady, bo jasno widzą pożytek z tkactwa. Na wystawie płockiej już to, co Krajewski umie, ogólne zyskało uznanie; na mnie, jako inicyatora nauki, spadły niezasłużone pochwały od komitetu i ogółu zwiedzających. Ale nie radbym poprzestawać na tem, co się dotąd zrobiło. Tkactwo w mojej okolicy chciałbym na większą skalę upowszechnić, bo go tu bardzo potrzeba; ani chwili nie wątpię, że garnąć się do niego będą włościanie, gdyż przemysł ten da im zarobek w porze zimowej i pozwoli ubierać się w tak u nas zarzucone a tak np. w mądrej Szwecyi upowszechnione samodziały. Ażeby wszakże dojść do możności owego szerszego upowszechnienia u nas tkactwa, potrzeba, abyśmy tu posiadali tkacza inteligentnego. Krajewski sam robić umie, ale uczyć nie potrafi, jest bowiem chłopem zupełnie prostym. Możeby więc sekcya przemysłu ludowego przysłała do Brodów odpowiedniego instruktora.“ P. Jaroszewski obiecuje w tym celu od siebie pomieszczenie na 4—5 warsztatów i pożyczkę 200 rb. na zakup niezbędnej przędzy, dopóki w okolicy plon przyszłoroczny nie da własnej.

Tak więc, dzięki działalności sekcyi ludowej, tu i owdzie budzi się jakaś inicyatywa. Szkoła w Stanisławowie, a właściwie wzorowe warsztaty tkackie, prowadzone są przez instruktora-specyalistę i pozostają pod ogólnym kierunkiem sekcyi. Zadaniem ich jest wyrobienie nie tkaczów-amatorów, lecz drobnych przemysłowców, którzyby zarabiając sami, jednocześnie mogli podtrzymywać produkcyę lnu w okolicy i wreszcie ażeby towary fabryczne wraz z towarzyszącymi im handlarzami, trzymali od wsi jak najdalej.

Trudno się łudzić, ażeby takie zadanie mogło być wykonane w całości, zwłaszcza żeby można było zupełnie zwyciężyć wyroby przemysłu wielkiego. Trzeba atoli przyznać, że tu i owdzie tkactwo, jako przemysł ludowy, wyrobiło sobie już grunt jaki taki i racyonalnie prowadzone, mogłoby istotnie podnieść włościan ekonomicznie. Dali nam tego dowody na wystawie radomskiej tkacze z Nieznamirowic, szczególnie zaś trzej, którzy się uczyli tkactwa w Stanisławowie. Ich sukna i korty posiadają tak dużo zalet, zarówno pod względem trwałości, jak i gustu, że nawet mogą współzawodniczyć z wyrobami fabrycznymi. Sukna białe, granatowe i czarne, używane na sukmany, oraz korty, szewioty itd., mają takie powodzenie, że tkacze owi nie mogą podołać zamówieniom. W wystawie płockiej tkacze okoliczni (uczniowie ze Stanisławowa) również wzięli udział. Wystawili oni ręczniki, serwety, płótno (w części już wyrobione z domowej przędzy lnianej), które w niczem nie ustępowały wyrobom fabrycznym i nawet współzawodniczyły z nimi ceną. Tylko nie mogły im dorównać w apreturze, co jest uważane nie za wadę, lecz nawet za największą ich zaletę. Wszystkie te wyroby rozchwytano na wystawie i dodano tkaczom bodźca do pracy. Tacy z nich, jak Ostrowicki w Cholinie (pow. Lipnowski) i Zaremba w Zakrzewiu (tenże powiat), posiadają już po dwa i trzy warsztaty, przyjęli uczniów, nabywają przędzę bawełnianą fabryczną i skupują w okolicy, a nawet w Łodzi, przędzę lnianą. Tu i owdzie wyrabiają także pasy i szlaki z wełny domowej. Ale ten dział wyrobów jest jeszcze w bardzo słabym zarodku.

„W Stanisławowie (słowa pewnego członka sekcyi przemysłu ludowego) najwięcej jest, a zwłaszcza było takich uczniów, którzy zachęceni jedynie przez pismo ludowe, sami jęli się tkactwa, bo rozumieli potrzebę tej nauki. Wzięli się do niego i dziś są z tego zadowoleni; 10-morgowy gospodarz, Fr. Reszka, w pow. Lubartowskim, powiada, że musiałby znosić niedostatek, gdyby nie to, że w porze zimowej wcale dobrze zarabia tkactwem.“

Wszystko to jednak, co dotychczas zrobiła sekcya przemysłu ludowego w zakresie tkactwa, jest zaledwie początkiem, próbą. Gdyby ona szła dalej tą drogą w popieraniu tkactwa, jak obecnie, przemysł ten nigdyby się nie rozwinął do tego stopnia, ażeby mógł istotnie być niemałą pomocą dla ludu. Cóż z tego, że chłopi nauczą się tkactwa w Stanisławowie, że zdobędą z wielkim trudem parę warsztatów, skoro nie posiadają żadnych środków, ułatwiających produkcyę i handel? Tak np. tkacze w Turku są w zupełnej zależności od lichwiarzy, którzy im dostarczają bawełny na kredyt. W innych miejscowościach mniej więcej to samo. Tkacze nie mają za co kupować materyałów surowych, a nadto muszą się posługiwać pośrednikami-skupywaczami, którzy ich wyzyskują. To samo zjawisko spostrzegamy w innych gałęziach przemysłu ludowego. Garncarze iłżeccy, którzy zyskali już dość szeroką sławę, prawie wyłącznie zbywają swoje wyroby przez pośredników małomiasteczkowych. Zarówno tkacze nieznamirowscy, jak i garncarze iłżeccy, pomimo że się skupili w jednem ognisku, rozpraszają swoje siły w pracy pojedynczej. Każdy tkacz ma własny warsztat, każdy garncarz — własny piec. Każdy z nich wyrabia osobno, szuka środków produkcyi osobno i zbywa osobno. Żadnemu z nich nie przyszło na myśl, że tylko praca zbiorowa może dać trwały grunt przemysłowi.

Otóż zadaniem przemysłu ludowego powinno być nietylko ułatwianie zdobycia uzdolnień fachowych, lecz także wskazanie i ułatwienie następnie formy ich wyzyskania. A więc niech sekcya stara się zachęcać tkaczów i innych fachowców do zawiązywania spółek przemysłowych, niech ułatwia stworzenie tych organizacyj. Niech nadto stara się o urządzenie nowych lub uprzystępnienie istniejących instytucyj kredytowych w celu udzielania zasiłków dla tego rodzaju przedsięwzięć; niech wskazuje drogi, jakiemi można najłatwiej trafić bez pośredników i skupywaczów na rynki, niech się dowiaduje i informuje następnie włościan, jakie rodzaje produkcyi mogą mieć powodzenie, jakie mogą się oprzeć przemysłowi wielkiemu. Niech wreszcie światlejszych i dzielniejszych fachowców stara się ściągnąć na swych członków. Dopiero wtedy działalność jej będzie pożyteczna i płodna.

Zanim to jednak nastąpi, sekcya musi sama się uczyć, musi posiąść dokładne wiadomości o stanie wszelkich gałęzi przemysłu ludowego w różnych zakątkach kraju. Dziś ona wie tylko to, co powiedzą członkowie lub inni ludzie przygodni. Tak np. dowiadujemy się od p. St. Dzierzbickiego, iż w wielu miasteczkach gub. Kaliskiej (osobiście mu znanych), jak np. Turku i wioskach pobliskich, w okolicach

Zduńskiej Woli, Szadku itd. ludność miejscowa polska zajmuje się tkactwem na coraz szerszą skalę. Niektóre miasteczka w pow. Nieszawskim, jak np. Służew, zamieszkałe są przeważnie przez szewców wiejskich, jeżdżących po jarmarkach z towarami, a trudniących się latem bardzo często dzierżawieniem sadów (t. zw. sadownictwem), z których zupełnie wyrugowali Żydów. W powiatach pogranicznych wielu włościan zajmuje się handlem gęsi w lecie, innego zaś drobiu w zimie (zaopatrują Toruń i inne miasta w Prusach i Poznańskiem). W pow. Nieszawskim każda wioska ma jeden lub więcej sklepików, utrzymywanych przez włościan. Szczegóły takie byłyby bardzo pożądane ze wszystkich okolic kraju. Dopóki ich sekcya przemysłu ludowego nie zdobędzie, poty będzie działała po omacku, przypadkowo lub jednostronnie.

Jeżeli zaś sekcya ta ma być przewodniczką w pracy ekonomicznej ludu, jego instruktorką w wielu gałęziach przemysłu, to powinna zwrócić także uwagę na cechy znamienne ludu, jego zdolność do pracy lub nieumiejętne, bezładne rozporządzanie czasem, na mniejszą lub większą produkcyjność tej pracy, na stan i poziom gospodarki, gdyż z tem wszystkiem związane jest istnienie i powodzenie przemysłu ludowego, oraz metoda jego zaszczepiania. Otóż pożądane byłoby mieć między innemi i to na uwadze, co przed kilku miesiącami sformułował Prus w jednej ze swych kronik: 1) Chłopi źle się żywią, więc gorzej pracują, niż dobrze karmiony robotnik europejski. 2) Grunty chłopskie są rozdzielone na drobne kawałki, co czyni stratę czasu w robocie rolnej. 3) Rolnicy polscy zbyt mało używają machin, przy których pomocy robi się więcej i prędzej. 4) Drogi są złe, co utrudnia przewóz i wymaga większej siły pociągowej. 5) Inwentarz roboczy źle karmiony i przepracowany, mniej daje siły roboczej, niż w Niemczech i we Francyi.

Kto się zajmuje wyszukiwaniem i ułatwianiem pracy ludowi, powinien jeszcze zapamiętać następujące uwagi powyższego autora: „Gdyby ludność wiejska na spółkę biła bydło rogate, barany brakowe itp., miałaby funt mięsa wołowego po dziesiątce, a baraninę po sześć groszy. Za tę cenę bowiem sprzedaje swój dobytek Żydom, a kupuje od nich mięso za cenę podwójną. Próbowano niejednokrotnie, kiedy cena tak zwanego braku w owczarniach była zbyt nizka, bić skopy i rozprzedawać mięso służbie dworskiej, na ordynaryi będącej, oraz włościanom ze wsi, dając nawet mięso nie za gotówkę, lecz na odrobek. Mięso brano, ale o odrobkach nikt nie myślał; musiano więc tego systemu, chcąc nie chcąc, zaniechać. Tylko dzięki niezaradności robotnik źle się żywi, bo zamiast jadać ze wspólnego kotła, co byłoby i lepiej i taniej, jak to robią żołnierze na robocie i robotnicy, przybywający z Galicyi, to nasz robotnik każdy gotuje dla siebie osobno, lub zupełnie nie gotuje, źle się żywi, a otrzymywaną mąkę, krupy, groch zsypuje w woreczki i sprzedaje arendarzom i pachciarzom za lichy grosz.“

Taka nieumiejętność kombinowania najprostszych rzeczy, taka dążność do indywidualizmu nietylko w przemyśle, lecz i w misie, jest jedną z głównych przyczyn niedomagań ekonomicznych ludu; ta zaś wypływa nietylko z cech plemiennych i kulturalnych, lecz i z braku oświaty. Kto chce zatem wznieść gmach dobrobytu ekonomicznego dla wielkich rzesz ludności włościańskiej i kto chce wierzyć w powodzenio tego gmachu, powinien przedewszystkiem zbadać grunt, na którym on ma być wzniesiony. Inaczej — fundamenty, drobnemi cząstkami w różnych miejscach mozolnie murowane, mogą bez śladu zniknąć w mokradłach i nizinach życia.

Zen. Piel.

W DALI.

Żytomierz. Przed wielu laty p. J. Henryk Stecki i księżna Jabłonowska, jako spadkobiercy Jadwigi Steckiej, wytoczyli proces zarządowi dóbr państwa. Nareszcie sprawa skończyła się obecnie z pomyślnym skutkiem dla osób wyżej wymienionych: Departament dóbr państwa polecił wypłacić pełnomocnikowi powodów 286,312 rb. 65 kop. Cały przebieg sprawy i jej przyczyny są bardzo ciekawe. Z chwilą zniesienia starostwa żytomierskiego (w r. 1797) skarb państwa objął w swe posiadanie dobra prywatne ostatniego starosty, wieś Sielce, stanowiącą dziś częściowo przedmieście Żytomierza. Wieś ta miała 1,900 dzies. przestrzeni i należała do hr. Ilińskiego. W r. 1807 b. starosta wytoczył skarbowi proces, dowodząc, że Sielce skonfiskowano bez żadnych podstaw prawnych, gdyż majątek ten jest osobistą jego własnością. Sprawa ta ciągnęła się około *siedemdziesięciu* lat. W r. 1875 Rada państwa orzekła, że Sielce, jako osobisty majątek ks. Ilińskiego, należy wyłączyć z ziemi starościńskich i zwrócić powodowi, a ponieważ on umarł, więc jego corce i spadkobierczyni, Jadwidze Steckiej. Po tem orzeczeniu wystąpiono do skarbu z pretensyą o zwrot dochodów z majątku po hr. Ilińskim, za czas od r. 1807 do 1875. Sprawa ta trwała do chwili obecnej i skończyła się, jak rzekliśmy, pomyślnie dla strony skarżącej. Ponieważ zmarła Jadwiga Stecka, więc dochody łącznie z procentami, wynoszące 286,000 rb., będą wypłacone spadkobiercom. Część gruntów zmarłej Jadwigi Steckiej (przeszło 200 dzies.) skarb zwrócił już prawnym właścicielom, około 100 dzies. zwrócili im Sudziłowscy, w których posiadaniu była ta cząstka, wreszcie 70 dzies. zwrócił gen. Kałoszyn. Sprawa zaś gruntów, znajdujących się w posiadaniu arcybiskupa wołyńskiego tudzież miasta Żytomierza, dotychczas nie jest jeszcze rozstrzygnięta. Miasto przegrało proces i na zasadzie dwu instancyj musi zwrócić spadkobiercom Steckich 400 dzies. gruntu, który dziś stanowi wartość najmniej miliona rubli (licząc po 1 rb. sążeń kwadr.). Sprawa ta przeszła obecnie w drodze kasacyi do senatu. Ponieważ spadkobiercom przyznano całkowicie dochód za lata powyżej oznaczone, więc nie ulega wątpliwości, że miasto będzie musiało zwrócić grunty prawnym spadkobiercom. Przypuszczają, że w zamian skarb wyznaczy miastu inny obszar ziemi. Dziś na gruncie wygranym w procesie stoją warsztaty i inne zabudowania kolejowe. Okoliczność ta wikła całą procedurę zwrotu

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Departament lekarski, otrzymawszy odpowiedzi od wszystkich gubernatorów, stworzył komisyę, która na podstawie tych danych opracuje projekt dozoru rządowego nad prostytucyą.

Szkoły. W uniwersytecie kazańskim na wydziale lekarskim wolna jest katedra akuszeryi i chorób kobiecych. Pragnący ubiegać się o tę posadę winni złożyć przed 16 stycznia r. p.: podanie, prace naukowe i życiorys.

— W uniwersytecie petersburskim wolna jest posada lektora języka francuskiego. Kandydaci winni złożyć na ręce dziekana przed 1 stycznia 1900 r.: dyplom z ukończonego zakładu i prace naukowe.

— Ministeryum oświaty rozstrząsa projekt wykładów hygieny w szkołach początkowych.

Prasa. Na mocy rozporządzenia komitetu cenzury termin zawieszenia dziennika szwedzkiego *Uleaborgsbladet* przedłużono zamiast początkowo wyznaczonych 2, do 6 miesięcy, dziennika zaś fińskiego *Keski-Juomi* (Finlandya środkowa) zamiast 1, do 2 miesięcy. Oba pisma wychodzą w Finlandyi.

Z sądu. Ciekawą sprawę sąd okręgowy rozstrzygnął w Warszawie. Na ławie oskarżonych zasiadł były uczeń piątej klasy gimnazyum w Częstochowie, Stanisław Dunin-Wąsowicz za czynne znieważenie inspektora tego zakładu naukowego, p. Aleksandra Riedke. Rzecz się tak miała: Inspektor skazał Wąsowicza na dwunastogodzinny areszt, jako karę za kilka wykroczeń, mianowicie za palenie tytuniu w gmachu gimnazyalnym i za niestosowne odpowiedzi, dane nauczycielowi języka francuskiego. Inspektor za to nazwał go osłem wobec całej klasy. Podrażniony systematycznem prześladowaniem i surowemi karami, uczeń uderzył inspektora paskiem w twarz, za co, z decyzyi rady pedagogicznej, został wydalony z gimnazyum bez prawa wstąpienia do jakiegokolwiek zakładu naukowego w państwie rosyjskiem. Niezależnie od tego wytoczono mu sprawę, którą rozstrzygnął wydział karny piotrkowskiego sądu okręgowego. W liczbie świadków wystąpił dyrektor gimnazyum, p. A. Giejewski, który złożył zeznanie następujące: W pierwszych chwilach Wąsowicz uczył się zadawalająco i sprawował się dobrze. Dopiero później zaczęto notować drobne przewinienia. W chwili zaś gdy go oskarżył nauczyciel języka francuskiego, inspektor zaczął go karać często i surowo, z pogwałceniem wszelkich zasad stopniowania. Bo oto np. wymierzono Wąsowiczowi karę dwunastogodzinnego aresztu, prawie niepraktykowaną w stosunkach gimnazyalnych. Ucznia zamknięto w klasie nieopalonej i przetrzymano tam bez jedzenia aż do wieczora. Przesiedziawszy w pomieszczeniu takiem prawie dzień cały, Wąsowicz przeziębił się i wyszedł z gimnazyum chory. Co do samego zajścia, to zdaniem p. Giejewskiego, znieważenie inspektora przez Wąsowicza było dziełem przypadku. Wąsowicz, jak twierdzi dyrektor, jest chłopcem nierównego charakteru; należy z nim postępować umiejętnie. Oddziaływać na niego można tylko siłą słowa — perswazyą. Nauczyciel Warciński zeznajo, że Wąsowicz był uprzejmy, z kolegami żył w zgodzie. Po odsiedzeniu zaś kary w nieopalanej sali wyszedł istotnie chory, gdyż wogóle odznaczał się słabem zdrowiem. P. Z. Dobrowolska, żona nauczyciela, zeznała, iż Wąsowicz, jej lokator, po zajściu z inspektorem wpadł do niej wzburzony i zawołał: „Uderzyłem tego podłego człowieka.“ Sąd okręgowy piotrkowski skazał Wąsowicza na dwa miesiące więzienia, bez pozbawienia praw i przywilejów. Na skutek apelacyi obrońcy Wąsowicza, sprawa ta weszła do departamentu karnego izby sądowej warszawskiej. Tym razem w obronie podsądnego stanął adwokat Pepłowski, który w swoich dowodzeniach usiłował obalić motywy sądu piotrkowskiego; mianowicie wymierzenie kary na podstawie art. 395 ust., tj. za obrazę naczelnika przez podwładnego. Ucznia nie można uważać za urzędnika, bo urzędnikiem może być tylko pełnoletni, tymczasem do gimnazyum uczęszczają malcy 10-letni, Wąsowicz zaś miał 15 lat. Dyrektor, ani inspektor nie może być naczelnikiem uczniów, jak np. ordynator szpitala nie jest naczelnikiem chorych, jak wreszcie dyrektor kolei nie jest zwierzchnikiem podróżnych. Wąsowicza niesłychanie surowo ukarała rada pedagogiczna, więc już zbyteczna kara sądowa, a przynajmniej powinna być łagodna. Jakoż Izba sądowa wydała istotnie wyrok łagodniejszy, bo skazała Wąsowicza na areszt dwutygodniowy na odwachu wojskowym.

Przemysł i handel. Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę kas pożyczkowo-oszczędnościowych w Wyszkowie (pow. Pułtuski), w Aleksandrowie (gub. Piotrkowskiej), Kole i Rawie.

Koleje i komunikacye. Projekt szerokotorowej kolei Warszawsko-Kaliskiej, opracowany kosztem kolei Wiedeńskiej (40,000 rb.), wkrótce badany będzie przez osobną komisyę.

— Ministeryum komunikacyi wydało rozporządzenie, ażeby na stacyach mniej ruchliwych podróżni, przybywający z innych kolei, mogli wsiadać do przyczepionych umyślnie wagonów osobowych najbliższego pociągu towarowego.

— *Kuryer Warsz.* zapewnia, iż kolej Dąbrowska od 13 stycznia r. p. przejdzie na rzecz skarbu państwa.

Zmarli. Władysław Kostrzębski, w Warszawie; numizmatyk. Drukował swoje prace w *Wiadomościach numizmatyczno-archeologicznych*, wydawanych w Krakowie.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Józefowi M. w Jarańsku. Żeromski: „Utwory powieściowe,“ rb. 1.20. „Opowiadania,“ rb. 1. Niemojewski: „Wybór poezyi,“ Kraków, rb. 1. „Listy człowieka szalonego,“ rb. 1.50. Niedźwiedzki: „Grzech,“ Kraków, rb. 1. „Sam na sam,“ Kraków, rb. 1. „Sposób na dyabła,“ Kraków, rb. 1.30. „Pneumatyk nr. 301,“ rb. 1. Miejsca pobytu Sienkiewicza nie znamy, może Pan jednak adresować do *Tygodnika ilustrowanego.*

Stałemu czytelnikowi w Kijowie. Najniższa szkoła techniczna istnieje w Warszawie tylko przy warsztatach kolei W.-Wiedeńskiej, ale jest ona przepełniona synami urzędników i oficyalistów tej drogi, posiadającymi pierwszeństwo. Kosztem 15 rb. miesięcznie za utrzyman e i naukę kształcić chłopca w Warszawie nie można.

Panu P. St. Reporter chciał plotką zarobić kilka groszy. Redaktor *Prawdy* bowiem ani nie był we Lwowie, ani być nie zamierzał.

Pani T. Win. w Kal. Och, Szanowna Pani, dosyć już Przybyszewskiego!

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem,** na zasadzie § 23 lit. *l* Ustawy Towarzystwa ogłasza niniejszem na rok 1900 konkurs na wykonanie szkicu plastycznego na fontannę (wielkość dowolna), mającą stanąć na skwerze przed gmachem Towarzystwa, na rogu ulic Królewskiej i Mazowieckiej.

Za projekty najlepsze, mające istotną wartość artystyczną, przeznaczone są 3 nagrody pieniężne, mianowicie: 250, 150 i 100 rubli. Dzieła nagrodzone staną się własnością Towarzystwa.

Deklaracye w formie zwyczajnej korespondencyi, ze wskazaniem w nich dokładnego adresu, należy nadesłać pod adresem Komitetu Towarzystwa przed 15 stycznia 1900 r.

Prace konkursowe winny być nadesłane do lokalu Wystawy Tow. najpóźniej do dnia 25 stycznia 1900 r. do godziny 3 po południu.

Sąd konkursowy odbędzie się podług regulaminu, ustanowionego dla konkursów Towarzystwa.

Koszt transportu dzieł konkursowych, nie przenoszących wagi 10 pudów, pociągiem zwyczajnym nadesłanych i opłatę cła od przysłanych z zagranicy, o ile dzieła te zostaną przyjęte przez Cenzurę rządową i delegacyę Sądu konkursowego, ponosi Towarzystwo.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Октября 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.